



**rusznikarz
z Suhl 7**



**umiaru
nie znają 13**



**co jest
sport każdy
widzi 14**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

16

KONTAKTY
12 X 80
Cena 4 zł



Fot. Gabor Lőrinczy

**polowanie
z
nagonką**

STEFANIA HENCZELOWA

Na zebranie załogi Zakładu nr 2 Białostockich Fabryk Mebli w dniu 19 września br. szłam z przekonaniem, że jego kierownik jest potworem, któremu trzeba natychmiast odebrać władzę, a może nawet odizolować od społeczeństwa. Tak nastawiły mnie, wygłoszone z pasją, opinie kierownika tapicerni, Henryka Kapuściaka, będącego jednocześnie II sekretarzem zakładowej organizacji partyjnej. Na miejscu zrozumiałam, że w ferworze walki interesów niektórzy członkowie załogi łomżyńskiego Zakładu zagubili obiektywne miary dobra i zła. Faktem jest, że nie wszyscy z zebranych dali się pociągnąć grupie krasomówców, lecz niepokojem napawało mnie spostrzeżenie, że nie przewidzianych do głosu pospiesznie ściągano z powrotem na krzesła, a niechętnych do głosowania — pod presją zmuszano do podnoszenia rąk. Niewiele brakowało, żeby w świetlicy Zakładu nr 2 BFM w dniu 19 IX 80 r. zapadł krzywdzący człowieka wyrok.

marzenia z usterkami

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI

Trudno to sobie wyobrazić, ale założmy, że gdyby zdarzyła się sytuacja niezwykła, kiedy spotkałoby się ich trzech: Prezes, Dyrektor i Lokator, i gdyby mogli sobie porozmawiać — szczerze lub choćby prawie szczerze — wtedy prawdopodobnie wyglądałoby to tak.

— Kłaniam się nisko, panie Prezesie. Do nożek padam, kochany Dyrektorze.

Stare przyzwyczajenia. To miała być przecież rozmowa partnerska.

— Dzień dobry, Prezesie. Dobrze, że i pana zastałem, Dyrektorze. Z panem też chciałbym zamienić kilka słów.

Lokator: — Siedem lat czekałem na moje upragnione M-4. Jestem szalenie szczęśliwy, że je wreszcie dostałem. Chciałbym panów zaprosić na grzyby. Znam miejsca, gdzie się je znajduje z zamkniętymi oczami.

Prezes: — Tak rzadko spotykają nas dowody wdzięczności, że chyba skorzystamy, kolego Dyrektorze?

Dyrektor: — Jeżeli niebył daleko... Mam dziś zapowiadany wyjazd do Zambrowa.

L.: — Ależ to zupełnie blisko, w osiedlu Jantar, ulica Prusa i Żeromskiego.

P. i D.: — Aaa... To my znamy.

L.: — I co z tego wynika?

P.: — Znamy te pretensje, ale to nie jest grzyb, proszę pana. Ta rzecz, która pana niepokoi, pojawia się tylko na gipsowych ściankach. To jest pomysł racjonalizatorski ŁPB, prawda?

D.: — Faktycznie, byliśmy chyba pierwszym przedsiębiorstwem, które wprowadziło ścianki gipsowe. Są one tańsze i konieczne przy braku cegły. Do niedawna nie było poważniejszych problemów. Zaczęły się dopiero w tym roku. Coraz więcej przedsiębiorstw w kraju przechodzi na naszą technologię. Musi się to odbywać kosztem jakości. Poza tym nie sprzyja nam aura. Ścianki robimy pod gołym niebem, a gips bardzo chętnie wchłania wodę. Stąd później ten niby grzyb.

P.: — Jaki tam grzyb. Zwyczajna czarna pleśń. Wystarczy dobrze wietrzyć mieszkanie, potem przetrzeć suchą szmatką, pomalować, i w dwa tygodnie ani śladu grzyba.

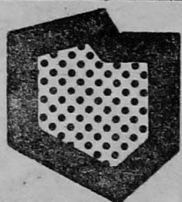
L.: — A jeżeli mam teściową, która nie znosi przeciągów, to co zmienić: teściową czy mieszkanie? Zresztą sąsiadka spod dziewczynki przewiewa i przewiewa, a dywan i tak jej zgnil, automatyczna pralka zaczyna rdzewieć.

P.: — Nie moja wina, że leje i leje. Gdyby było kilka ciepłych dni...

L.: — Łatwiej jednak załatwić dobrą pogodę niż zwrot kosztów za straty, które ponosimy przez te grzyby! A chyba coś się nam należy?

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5



NA KOLEJNYM POSIEDZENIU
VI Plenum KC PZPR Stanisław Kania wygłosił referat Biura Politycznego KC PZPR o sytuacji politycznej w kraju i aktualnych zadaniach partii. A oto niektóre fragmenty:

O charakterze kryzysu
Był to masowy, robotniczy protest nie przeciw socjalizmowi, a naruszeniom jego zasad, nie przeciw władzy ludowej, a przeciwko niedobrym metodom rządzenia, nie przeciw partii, lecz przeciwko błędom w jej polityce. Nie trzeba też upraszczać ocen. Nie był to sprzeciw konsumentów, lecz protest obywateli, nie sprzeciw najemnych pracowników, lecz klasy, która ma poczucie władza swojej Rzeczypospolitej.

[...] Z tej oceny wynikają jasno zadania i obowiązki naszej partii. Musimy naprawić błędy, usunąć wypaczenia, przywrócić socjalizmowi w Polsce jego wszystkie wartości, zapewnić rozwój socjalistycznej demokracji, musimy cierpliwie, krok po kroku zdobywać zaufanie do polityki partii.

Zródła kryzysu

Najogólniej mówiąc, przyczyny kryzysu tkwią w polityce ekonomicznej i społecznej, w metodach kierowania. [...]

Po pierwsze — nastąpiło ogromne przeciążenie gospodarki narodowej inwestycjami. Wskutek tego naruszone zostały proporcje podziału dochodu narodowego między akumulację i spożycie.

Po drugie — wysoce nierozważne było zadłużenie kraju. [...] W ubiegłym dziesięcioleciu, a zwłaszcza w jego drugiej połowie przekroczona została jednak wszelka miara w zadłużeniu kraju. Ponadto niemalą część zaciągniętych kredytów została źle wykorzystana. [...]

Po trzecie — proporcje w gospodarce kształtowały się w dużym stopniu żywiołowo, czemu sprzyjało hasło „planu otwartego”. A więc w istocie działano bez planu.

Po czwarte — nie docenione zostało znaczenie rolnictwa po raz zresztą któryś w naszej historii. Udział nakładów na rolnictwo w całości nakładów inwestycyjnych malał.

Po piątę — również wzrost spożycia przebiegał pod wieloma względami żywiołowo i w pierwszym pięcioleciu znacznie przekroczył ekonomiczne możliwości kraju. [...]

Sprawozdania i oceny przedstawiane Biuru Politycznemu ukrywały fakty świadczące o rzeczywistej sytuacji. [...] Są pełne podstawy do stwierdzenia, że rząd w wykonywaniu swoich ekonomicznych i administracyjnych funkcji zasłużył na surową ocenę.



Z OBRAD IV Sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej: Referat wojewody Jerzego Zientary: — W sierpniu nastąpiło obniżenie produkcji sprzedanej przemysłu o 118 mln zł tj. o ponad 12 proc. w stosunku do sierpnia ub. roku, a według wstępnych szacunków w miesiącu wrześniu osiągnięta wielkość produkcji charakterystyczną będzie niższą dynamiką aniżeli zrealizowana w okresie pierwszych 7 miesięcy br. (...) Prowadzimy starania w kierownictwie Ministerstwa Handlu o bardziej prawidłowe uwzględnianie potrzeb naszego województwa w zakresie warunków objętych jego rozdzielnikami. Na wielu odcinkach uzyskaliśmy, częściowo przynajmniej, pozytywne rezultaty (dotyczy to m.in. masła i mięsa). [...] Czynniki te (warunki atmosferyczne i dysproporcje w zaopatrzeniu — red.) mimo ofiarnej pracy rolników spowodowały w bieżącym roku dalsze obniżenie się globalnej produkcji naszego rolnictwa — w stosunku do poziomu osią-

Najpilniejsze zadania

Żywotną koniecznością i w ogóle sprawą decydującą o podstawach życia narodu jest ustabilizowanie i stopniowa poprawa sytuacji gospodarczej. Jest ona niezwykle ciężka, wręcz dramatyczna. [...]

Do działań najpilniejszych zaliczamy dodatkowy import żywności i wyrobów rynkowych, surowców i elementów kooperacyjnych, zwłaszcza ze Związku Radzieckiego i pozostałych krajów socjalistycznych, drastyczne ograniczenie wydatków budżetowych i inwestycyjnych, a także inne radykalne przedsięwzięcia na rzecz poprawy sytuacji rynkowej. Do Sejmu wniesiona zostanie propozycja zatrzymania kilku największych inwestycji o długim cyklu i wysokiej kapitałochłonności. [...] Nie ma niestety takich środków, które pozwoliłyby w bieżącym i przyszłym roku polepszyć sytuację w dziedzinie zaopatrzenia w mięso i jego przetwory. Dość powszechnie zgłaszany jest postulat racjonowania mięsa. Sądymy, że wkrótce powinny zostać opracowane odpowiednie propozycje i przedstawione społeczeństwu pod dyskusję.

Odnowa ruchu związkowego

Tworzenie nowych związków oznacza organizacyjny podział ruchu zawodowego. Z deklaracji zawartych w porozumieniach wynika jednak, że polityczna jedność ruchu nie będzie rozbijana. Dlatego właśnie potwierdzamy raz jeszcze, że treścią naszego stosunku do nowych związków będzie konstruktywna współpraca. [...] Liczymy, że ich organizatorzy dbać będą o potwierdzenie i kształtowanie politycznego oblicza ruchu zgodnie z porozumieniami, zgodnie z interesem robotniczym, że zwracać będą uwagę nie tylko na potrzebą ochronę praw pracowniczych, ale i dbać o kształtowanie obywatelskiej postawy pracujących wobec swojego państwa.

Rozwój demokracji socjalistycznej

Samorządność społeczna i przewodnia rola partii nie są ze sobą sprzeczne, lecz wzajemnie się uzupełniają. Powinniśmy tak przewodzić, aby służyć społeczeństwu i tak służyć, aby przewodzić. W pierwszym rzędzie musimy podnieść rangę i znaczenie istniejących instytucji demokracji socjalistycznej, zwłaszcza Sejmu i rad narodowych. [...] Trzeba też zwiększyć wpływ rad na obsadę personalną organów wykonawczych, wprowadzić praktykę osobistego rozliczania za sprawowaną funkcję. Już teraz zaniechamy korzystanie z art. 93 ustawy, który umożliwia kooptację do rady. Jesteśmy za tym, aby przewodnictwo rad narodowych powierzyć nie tylko działaczom naszej partii, lecz również działaczom stronnictw sojuszniczych i bezpartyjnym. [...] Rozszerzymy zakres powierzenia bezpartyjnym fachowcom odpowiedzialnych stanowisk w gospodarce i administracji, na szczeblu centralnym i terenowym.

Konieczność zmian w partii

Najbardziej zasadniczym wnioskiem, jaki wynika z analizy wydarzeń i procesów zachodzących obecnie w Polsce jest konieczność dokonania głębokich zmian i przewartościowania w funkcjonowaniu samej partii. [...] Szczegółowej uwagi wymaga zapewnienie warunków swobodnego wyboru władz partyjnych, zgodnie z zasadami ustalonymi w Statucie, nieskrępowanego zgłaszania i omawiania kandydatur. Trzeba będzie instytucjonalnie, statutowo określić obowiązki Biura Politycznego, Sekretariatu KC, obowiązki i sekretarza KC oraz charakter ich zależności wobec Komitetu Centralnego. [...] Podjęliśmy kroki, aby instancje partyjne zwolniły od bezpośredniego zarządzania, od podejmowania konkretnych decyzji gospodarczych. Jesteśmy za samodzielnym działaniem rządu i administracji pod stałą i wnikliwą kontrolą organów przedstawicielskich.

O odpowiedzialności

Centralna Komisja Kontroli Partyjnej będzie proponować, aby Plenum KC wyciągnęło wnioski partyjne z tytułu jaskrawej samowoli i nadużyć w gospodarowaniu środkami publicznymi. Niestety, przypadki takiej samowoli, choć w różnej skali, nie były odcinane. [...] Stanowisko nasze jest następujące: każdy przypadek nieuczciwości i nadużyć jest i będzie wnikliwie badany przez kontrolę partyjną, NIK i prokuraturę. Każdy potwierdzony fakt będzie praworządnie, surowo ukarany.

Zapowiedź nadzwyczajnego Zjazdu PZPR

Wiele organizacji partyjnych zgłasza wnioski o zwołaniu nadzwyczajnego Zjazdu PZPR. Jest to wniosek uzasadniony. W sytuacji społeczno-politycznej kraju zachodzą poważne zmiany i zmianom tym odpowiadać powinny nowe rozwiązania programowe, a tylko Zjazd, jako najwyższa władza partii władny jest je uchwalić, a także wprowadzić odpowiednie uzupełnienia do naszego Statutu.

ZGODNIE Z WEZWANIEM Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w Gdańsku 3 bm. o godz. 12 w wielu zakładach pracy na terenie kraju odbył się godzinny strajk ostrzegawczy. Jego powodem było przypisywanie rządowi niewywiązywania się z przyjętymi na siebie zobowiązaniami. Największe nasilenie strajków miało miejsce w Gdańsku, Elblągu, Katowicach, Słupsku, Wałbrzychu i Wrocławiu.

KOMISJA RZĄDOWA podpisała porozumienie z prezydium Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego. Realizacja przyjętych postulatów spowoduje ograniczenie wydobycia rudy o 6,5 mln ton, a w następstwie — spadek produkcji miedzi elektrolitycznej o blisko 90 tys. ton.

ZAKŁADY PRACY po wrześniowych zakładach zwiększają tempo produkcji. W Zakładach Płyt Włókowych w Grajewie ustanowiono rekord — wyprodukowano 500 tysięcy metrów kwadratowych płyt laminowanych w ciągu miesiąca.

W UROCZYSTYM POSIEDZENIU Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet w Łomży, poświęconym 35 rocznicy powstania tej organizacji udział wzięła przewodnicząca ZG Ligi Kobiet Eugenia Kemparowa. Zasłużone działaczki tej organizacji otrzymały odznaczenia: Halina Karwowska z Łomży — Złoty Krzyż Zasługi, Jadwiga Jastrzębska z Zambrowa — brązowy. Wręczono też odznaki „Za zasługi dla woj. łomżyńskiego” oraz złote odznaki Ligi Kobiet.

ZGODNIE Z POSTULATAMI mieszkańców — Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Łomży przystąpiła do budowy domów spółdzielczych w mniejszych miejscowościach województwa. W Wąsoszcu zostanie oddany w przyszłym roku czteropiętrowy budynek i rozpocznie się budowa następnego. W Rajgrodzie rozpoczęto budowę osiemnastorodzinnej bloku; zakończenie zapowiedziano na rok 1981.

TRUDNA SYTUACJA panuje w ciepłownictwie. W Grajewie nie ukończono zaplanowanej na wrzesień budowy 1200-metrowego odcinka sieci ciepłej. Mieszkańcy Łomży czekają na oddanie do użytku dodatkowego kotła w ciepłowni. W Zambrowie zapowiedziano na 15 października ukończenie budowy

RADA MINISTRÓW biorąc pod uwagę trudną sytuację paszową postanowiła podnieść w obecnym roku gospodarczym dostawę pasz treściwych dla rolnictwa do wysokości 8,7 mln ton. Wymaga to zwiększonego importu zbóż. Podjęto także decyzję o dodatkowym zakupie na granicy około 30 tys. ton mięsa.

NIWYKONANIE TEGOROCZNEGO planu inwestycji energetycznych (zamiaszt 1620 MW do eksploatacji wejdzie w najlepszym przypadku 820 MW) pogłębi trudności w jesienno-zimowym szczycie: średnio zabraknie około 1000 MW co odpowiada zapotrzebowaniu dwóch aglomeracji wielkości Warszawy (łącznie z przemysłem).

BEZPOŚREDNIA PRZYCZYNA katastrofy kolejowej pod Toruniem, w której zginęło 67 osób było (jak ustaliła Komisja Rządowa) naruszenie przez obsługę pociągu towarowego podstawowych zasad bezpieczeństwa ruchu kolejowego. Nie zastosowała się ona do wskazań semafora dającego sygnał „stój” i pociąg wyjechał na tor, po którym prawidłowo kursował pociąg osobowy relacji Toruń — Łódź Kaliska.

BOHDAN CZESZKO w „Kulturze” (Wydżane przez mnie) stwierdza: „Rozdrobnienie województwa miało wyeliminować magnackie zapędy niektórych wojewodów z jednej strony, z drugiej zaś wyrugować kacyków powiatowych, a spowodowało w konsekwencji rozmnożenie kacykostwa na szczeblu gminnym ze wszystkimi parzywymy objawami, takimi jak łapownictwo, sobiepaństwo, nepotyzm, tworzenie sił i wydłużono niepomierne drogi obywatela szukającego sprawiedliwości na wyższych szczeblach władzy. Spowodowało to także na szczeblu wojewódzkim awans ambicji, tam zwłaszcza, gdzie dotychczas robiło się niewiele. (...) W sławnym mieście Łomży doszło np. do tego, że Urząd Wojewódzki zarządził był wyrogiwanie dwudziestu kilku posiadaczy nowo wybudowanych domków jednorodzinnych zgodnie ze wszelkimi wymogami prawa, argumentując ten zabieg potrzebami Urzędu pragnącego wybudować na tym terenie Siedzibę. Znam tę sprawę nader dokładnie, bo przyczyniłem się do ukarcenia jej łba.”

W ARTYKULE „PRZECIERANIE” („Literatura”) Teresa Torńska zajmując się problemem roli pośła w terenie pisze: „Naczelnik Zambrwa zna system demokracji socjalistycznej, więc wie, że nie może mówić posłowi: daj pośle, bo pośle przecież niczego nie ma. Wierzy jednak, że tow. Skalski jako reprezentant województwa będzie się starał, by jak najwięcej środków inwestycyjnych trafiło właśnie tu, a zwłaszcza pieniądze na modernizację rolnictwa i meliorację. Przewodniczący Komitetu Frontu Jedności Narodu aż takich wymagań nie ma. — Niech godnie — mówi — reprezentuje gminę i miasto.”

kotłowni rejonowej. W Wysokiem Mazowieckiem trwa rozbudowa kotłowni spółdzielni mieszkaniowej.

12 PAŹDZIERNIKA uczestnicy IV pieszego rajdu turystycznego szlakiem miejsc pamięci narodowej złożyli wiązanki kwiatów na grobach żołnierzy radzieckich i polskich bojowników o wolność. Trasa wiedzie z Grajewa, przez Bogusze do lasów pod Kosówką.

KIEROWCY TOMASZ WINKO i Leon Choiński z Oddziału Towarowo-Osobowego PKS w Łomży zajęli drugie i trzecie miejsce w polifinalu „Olimpiady Kierowców 1980” Przedsiębiorstwa PKS w Białymstoku.

POSTANOWIENIEM PREZYDIUM WRN w Łomży został utworzony punkt konsultacyjny porad prawnych dla zainteresowanych tworzeniem nowych związków zawodowych. Punkt mieści się w siedzibie NOT przy ulicy Rządowej 1 w Łomży, tel. 41-29 i udziela porad we wtorki i piątki w godz. 16.00—18.00.

PODZAS ZEBRANIA sprawozdawczo-wyborczego Związku Inwalidów Wojennych i Wojskowych w Łomży odbyła się uroczystość odznaczenia 7 członków Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski.

WSRÓD LAUREATÓW dorocznych nagród wydawnictwa „Epoka”, wręczonych w tradycyjnym Dniu Prasy i Wydawnictw Stronnictwa Demokratycznego znaleźli się dwaj stali współpracownicy „Kontaktów”: Piotr Kunciewicz i Jan Kulka. Serdecznie gratulujemy.

Rodzina „dyrektorska”, jaką jest m.in. rodzina państwa Barbary i Krzysztofa Wawrzynkowskich, zdaje się być na oczach wszystkich. Ludzie patrzą i oceniają jej poczynania znacznie surowiej.

Z Krzysztofem Wawrzynkowskim, kierującym Łomżyńskimi Zakładami Spożywczymi, spotykamy się najpierw w jego gabinecie. Zanim jednak rozpoczniemy rozmowę, sekretarka wymienia serwetę, na której białym obramowaniu odkrywa naraz szpeczące ślady. Grać musi wszystko, do najmniejszego szczegółu!

— Wszyscy w tym kraju mają określone prawa i obowiązki. Natomiast dyrektorzy są jakby „wyjęci spod prawa”. Często nie mają uprawnień nawet w egzekwowaniu dyscypliny pracy. Niejednokrotnie byłem np. świadkiem zdarzenia, gdy pijak, który nadużył swoich uprawnień czy też naraził zakład na straty, przywracano do pracy, i to z poleceniem wypłaty całego wynagrodzenia za okres przerwy. Dyrektor jest to po prostu człowiek, który dziś tu jest, jutro niekoniecznie... Trudno więc się dziwić, że podlegał i nadal będzie podlegać presji takich czy innych układów, że niejednokrotnie będzie wyrażał ten głos, niekoniecznie wewnętrzny, aplauz dla tego, co się dzieje. Choćby dlatego (ludka rzecz), że jest zainteresowany utrzymaniem swojego poziomu życiowego. Powstają związki zawodowe metalowców itp., dlaczego nie miałyby powstać związki zawodowe dyrektorów? Warunek jednak, że prawo przynależności miałyby spełniać określone kryteria kwalifikacyjne, etyczne itp. Byłaby wówczas przynajmniej szansa na obronę interesów dyrektorów.

Za pozytywny fakt uważam pojawienie się sygnałów o tym, że niejednokrotnie dyrektorów na niższych szczeblach poświęca się dla tuszowania niektórych spraw „na gorze”. Bo w większości przypadków, jak się okazuje, rozkładali gospodarke nie „mali” dyrektorzy, a ci, którzy mieli możliwość decydowania na szerszą skalę. Niemalą rzeczą jest natomiast wyrażanie wszystkim dyrektorom np. w telewizji. Bo obojętnie uważam, że bardzo wielu „niższych” miało swój wkład w to, iż od ostatniego „czerwca” do obecnego „sierpnia” minęły aż 4 lata.

Faktem jest jednak również, że w okresie tego „przeciągania” powstały odchylenia, które musiały wywołać silne niezadowolenie klasy robotniczej — m.in. niesłuchanie opinii oddolnych. Można za to winić również dyrektorów, chociaż ja np. sobie w tej materii nie mam nic do zarzucenia. Czy zresztą można się dziwić dyrektorom, że zamiast zajmować się kaloszami (bo i postulaty dotyczące wymiany dziurawych kaloszy były ostatnio zgłaszane), zajmowali się sprawami bezpośrednio produkcyjnymi, skoro ich za to właśnie rozliczano? Takimi choćby, jak brak węgla na utrzymanie zakładu w ruchu, rozwikłaniem sytuacji, gdy zaopatrzenie materiałowe nie sięgało nawet 40 procent. Działaliśmy niejednokrotnie zamiast inych odpowiedzialnych osób, innych firm, nawet zjednoczeń. I to wszystko przy niezwykle zastrzeżonej kontroli. W ub. roku np. przeżyłem 40 kontroli zarejestrowanych, tj. każdy ósmy dzień roboczy zaczynałem od kontroli. Bardzo wątpię, czy najlepsi nawet dyrektorzy renomowanych firm pokazaliby w naszych warunkach, jak gospodarować. Sądję, że poddałoby się bardzo szybko albo w błyskawicznym tempie wykończyli psychicznie.

Nie zgodzę się na pewno z tym, że można na kredyt dokładać i dzieł więcej, niż się wytwarza. Tymczasem powstała taka epidemia, co gorsza, po podpisaniu porozumień na Wybrzeżu, że każdy musi swoje odstrajkować i tą drogą zgłosić postulaty. Rozluźniła się przez to dyscyplina pracy, ogarnęło pewne zniechęcenie kadrę kierowniczą, spadła w konsekwencji wydajność. Do podziału będzie więc jeszcze mniej, a założenia przecież były inne — że wypracujemy więcej i tę nadwyżkę podzielimy. Chyba oczywiście jest, że

jeśli ta sytuacja będzie trwała, to nie ma mowy o wzroście dobrobytu, a tylko o dalszej regresji. Tylko do kogo wówczas będziemy mieli pretensje?

— Obecnie robotnicy też chcą mieć prawo wyboru kierownictwa. Są dwa aspekty tej sprawy: gdy klasa robotnicza jest świadoma i odpowiedzialna, to rzeczywiście najlepiej wie, kto będzie dobrze dbać o interes zakładu. Ale istnieje i takie niebezpieczeństwo, że przy braku owego uświadomienia do głosu dojdą inne motywy, jak choćby chęć pozbycia się niewygodnych dyrektorów, tj. pilnujących dyscypliny, przeciwdziałających kradzieżom. Jeżeli na miejsce takiego właśnie, rygorystycznego i nietolerancyjnego, dyrektora wsadzą człowieka „z wyboru”, to niestety przewidzieć, jakie będą efekty.

— Pana postać też rysuje się wielu podwładnym jako „twardoreka”. Nie chcieli pana zdjąć?

— Łomżyńskie Zakłady Spożywcze, pozostające na samodzielnym rozrachunku, są w takiej sytuacji, że członkowie spółdzielni zapewniają sami jej działalność. Moje decyzje muszą iść jednak z wyprzedzeniem, bo wszystkie dyskusje, formułowanie wniosków mogą być spóźnione. Nie znaczy to, że wykluczam dyskusję z załogą. Przeciwnie, jestem nią zainteresowany, jak również istnieniem prężnej rady zakładowej. Podczas ostatnich tygodni miałem i swoją osobistą satysfakcję: na zakładowym wiecu zapytałem, czy załoga chce, bym złożył rezygnację z funkcji? Odpowiedź brzmiała — nie.

— Rzecz jednak w tym, by roli dyrektora nie przecenić. Mimo wszystko jest to w końcu tylko jedna osoba. Dlatego tym ważniejsza jest rola całej załogi. Jeżeli jednak nie doprowadzimy do odpowiedniego poziomu kultury pracy, jej poszanowania, nie ma mowy o wynikach. Chyba czas skończyć z sytuacją, gdy robotnik siedzi przez parę godzin, bo mu majster młotką nie podał. Każdy jest organizatorem pracy na własnym stanowisku. I tu leży celowość dyskusji, analiz, burzy mózgów, dających możliwość szerszego spojrzenia na problem. Inna rzecz, że dyskusja, jako kontrolowana metoda wychowawcza, kształtująca i świadomość ludzi pracy i pełniąc rolę przekazywacza informacji, musi jednak spełniać podstawowy warunek: nie może odbijać się echem tylko o ściany pokoju, w którym się odbywa. Przypuszczam, że wówczas automatycznie uzyska się dwa co najmniej cele: w czas nadejdzie bieg wielu ważnych sprawom, a z drugiej strony nauczy ludzi szacunku do własnego słowa, gdyż w przypadku wzajemnie poważnego traktowania zmusi do własnych głębszych przemyśleń, poszukiwań; po prostu zaktywizuje. Inny, dyskusyjny może wariant wychowania w duchu poszanowania pracy, to planowe bezrobocie. Tak uważam. Inaczej, rola jednoosobowej odpowiedzialności dojdzie do tego, że dyrektor będzie wkrótce przypominał człowieka, któremu związano ręce i nogi i kazano skakać wwyż. Działać na niego będzie nacisk z zewnątrz, z „góry”, od samych robotników i ich związków, których na dodatek może być w jednym zakładzie trzy i cztery.

Na kontynuowanie dalszej rozmowy w domu, państwo Wawrzynkowskie zgadzają się bez większego entuzjazmu. Praca praca, a dom chcą mieć wyłącznie dla siebie. Wykonawszy sto i jeden drobnych czynności domowych, nakarmiwszy 4-letnią Asię — niejadkę, włącza się do rozmowy pani Barbara.

— M.in. z tego względu nie chciałabym nigdy pracować pod bezpośrednim kierownictwem męża. Bo chcąc przeforsować jakąś sprawę „u szefa”, próbowałabym to zrobić również w domu. Praca razem z jej problemami przenosiłaby się więc za domowy próg. A tak, przed drzwiami temat się urywa i można

wyraźnie rozgraniczyć obowiązki zawodowe od życia rodzinnego. Z korzyścią, sądę, dla obu.

Mamy już chyba za sobą bardzo ciężki okres naszego życia rodzinnego. Córka przez pierwsze 3 lata życia bardzo często chorowała, z trudnością udało się utrzymać ją przy życiu. Ona też narzucała nam przez ten okres i harmonogram dnia, i hierarchię ważności spraw. Zresztą, tak chyba zostało i do dziś. Jesteśmy po ślubie prawie 11 lat. Uważam, że to, co zakładaliśmy na początku naszego małżeństwa udało się zrealizować, choć wszystko zdobywaliśmy własną pracą. Pamiętam, że pierwszym zakupem był motor WSK, na który oszczędzaliśmy wspólnie. Dziś jest zdecydowanie lepiej, mamy urządzone mieszkanie, zaczęliśmy budowę domu. Znacznym udogodnieniem jest to, że od września br. córka chodzi do przedszkola.

— Dostała się dzięki znajomościom...

— Nie. Po prostu żona pracuje w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego, gdzie jest przyzakładowe przedszkole. Aczkolwiek nie wiem, czy gdyby się nie dostała nie szukałabym znajomości — przyznaje ze śmiechem gospodarz domu.

— W Łomży nie mamy żadnej rodziny, dotychczas korzystaliśmy z pomocy „opiekunek”. Wcale nierzadkim był w okresie szukania niani warunek, że owszem, ale i konserwy z dostawą do domu...

— Kto rządzi w naszej rodzinie? Zdecydowanie — córka, no i rozsądek. Pytała pani o perspektywę szeroko pojętego awansu. Dla mnie

awansem będzie to, że będę miał mniej problemów, pracował normalnie, bez stresów, przeznaczając soboty i niedziele na spokojny weekend. Nie wykonując pracy za innych, którzy zostali do tego powołani, nie nadrabiając cudzych zaniechań. Wydaje mi się, że i tak dużo osiągnęłam. W każdym razie, nie zależy mi na awansowaniu na jeszcze „większego” dyrektora. Inna rzecz, że gdy problemów brakuje, sam je wyszukuję. Mieszkamy np. w bloku zakładowym Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego (poprzednio tam właśnie pracowałam), w którym mieszka też dozorca. Za pełnienie tej funkcji przyznano mu mieszkanie, zwolnienie od komornego i jeszcze pensję. A kłatki schodowe są stale brudne, aż strach. Ten zaś chodzi najczęściej pijany i jeszcze urządza popielnicę burdy. Zwróciłem się z pismem do dyrekcji PPS, by poinformowano mnie, co należy do zakresu obowiązków i zgadzam się je przejąć za pobory o 50 proc. niższe. I jeszcze komorne będę płacił. Nie uzyskałem odpowiedzi. Mała pojedyncza sprawa? A czyż nie z takich właśnie składa się całość? Czasu jednak na wszystkie byłoby za mało...

— Ale pieniędzy dużo, bo dyrektorzy dobrze zarabiają...?

— Nie bardzo to tak. Na produkcję mistrz, nastawiaczka krosien itp. mają tylko o około tysiąc złotych mniej. A dodatkowe wydatki, styl życia kosztuje...

NINA OMELCZENKO
Fot. Gabor Lőrinczy

kto obroni dyrektora



co u państwa słychać?



kontakty kontaktów

*

Jak to dobrze, że „Kontakty” oddychają tym wszystkim, co dzieje się w kraju, co jest ważne. Takimi mocnymi akcentami w ostatnich numerach tygodnika były znakomite reportaże Michała Mońki „Z powodu skórki” (nr 12) oraz Janusza Atlasa i Andrzeja Zawiszy „Racja stanu” (nr 14), a także wywiad o demokracji Lecha Gizełbacha z dr. Wojciechem Lamentowiczem. Wszyscy wymienieni przeze mnie autorzy podjęli aktualne i ważne tematy, nasświetlając sprawy, o których często się mówi, ale nie wszystko dokładnie rozumie. Sądzę, że nie będę odosobniony w swej opinii jeśli powiem, iż takimi artykułami „Kontakty” silnie zaznaczyły swą obecność w dyskusji nad zmianą oblicza naszej rzeczywistości. Oczekuję dalszych materiałów o tej doniosłości społecznej i politycznej na łamach tygodnika.

JAROSŁAW RUTKOWSKI
Białystok

*

Z ciekawością i zainteresowaniem przeczytałam artykuł red. Niny Omelczenko „Umrzeć na ząb”. Nie trudno było mi rozpoznać w osobie Carkiny naszego łomżyńskiego pana F. Niestety, wszystko to, co redaktor napisała na temat tego pana, jest prawdą. Każdy z nas łomżyńskich chociaż jeden raz przeszedł przez jego ręce. Ja też, ale mnie się udało, bo skończyło się tylko zapaleniem okostnej i usunięciem „wyleczonego” zęba, wraz z przepiękną koroną, która miała go wzmocnić. Uważam, że najwyższy czas, aby pan F. przeszedł w stan spoczynku, a leczenie pozostawił fachowcom. Fakt, że stomatologów u nas brakuje, nie jest powodem, aby pan F. dalej uprawiał swoją szkodliwą działalność.

Pisząc do Was, chciałam w ten sposób podziękować pani redaktor za tak potrzebny artykuł, który może skłoni odpowiednią władzę do zagwarantowania właściwej opieki zdrowotnej mieszkańcom Łomży.

H. KAMIŃSKA
Łomża

*

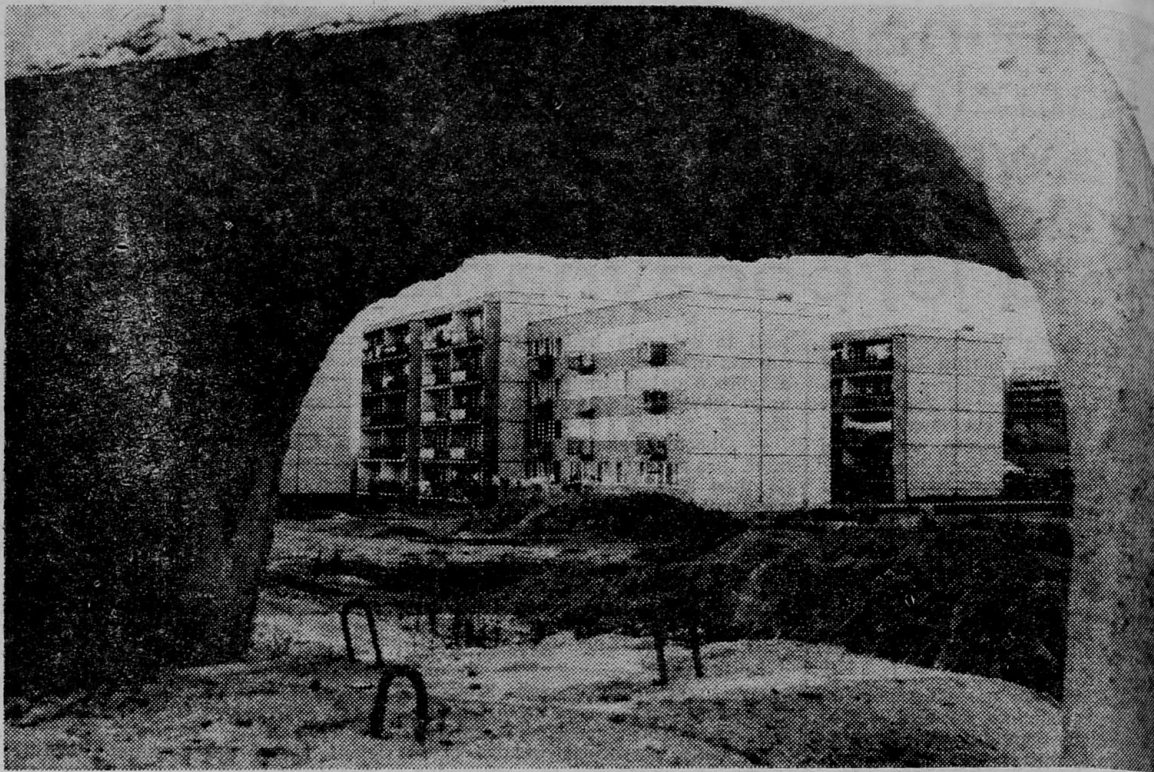
Z biciem sere — bo to „gdzie diabeł Narwiański nie może tam redaktora pośle” — i ze wzruszeniem przeczytałam artykuł „Troska”, zamieszczony w 13 numerze „Kontaktów”. Jest on bez lakieru, trafnie zarysowuje funkcje domu pomocy społecznej, lapidarnie i autentycznie charakteryzuje nasze wychowanki i pracę rewalidacyjną z nimi oraz relację: wychowanki — najbliższe otoczenie. Jesteśmy wdzięczni za podniesienie możliwości rozwiązania problemu na zasadzie optymalnych korzyści dla wszystkich zainteresowanych. Z całą serdecznością dziękujemy Redakcji za ciepły ton artykułu, co w naszej trudnej pracy ma duże znaczenie moralne. Szczególnie serdecznie dziękujemy panu redaktorowi Aleksandrowi Wroniszewskiemu za artykuł, który tak lakonicznie, a zarazem z wrażliwością i problemowo ujął ważniejsze zagadnienia naszego warsztatu pracy i życziwie nas ocenił.

Z upoważnienia załogi
mgr ZDZISŁAW
SKOWROŃSKI
dyrektor
Państwowego Domu
Pomocy Społecznej
dla Dzieci w Łomży

*

Wczoraj dostarczono mi do domu butlę z gazem. Przyjęłam i wszystko wskazywało, że będziemy mieć spokój przez następne trzy tygodnie. Niestety, po około dwóch godzinach poculiśmy w kuchni mdły zapach gazu. Zadzwońłam do przedsiębiorstwa zajmującego się rozwożeniem butli z gazem. Pani przyjmująca telefon poinformowała mnie, że nikt nie przyjedzie, bo ostatni

CIĄG DALSZY NA STR. 5



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

P.: — Ależ my wszystkim przyznajemy rację. A jeżeli mówi się tamto czy owo, to tylko wynik wytworzonej sytuacji.

L.: — Jakiej sytuacji? Ewidentne brakoróbstwo. Okna się nie otwierają, drzwi wypaczają...

P.: — Ten atak nie do mnie. To sprawa wykonawcy.

D.: — Stolarkę otrzymujemy z Sokółki. Niestety, nie mamy możliwości zmiany kooperanta. Inne przedsiębiorstwa robią to znacznie lepiej, ale nie mogę mieć do Sokółki specjalnych żalów, bo brakuje tam dobrej tarcicy. Nie można ich też obarczać odpowiedzialnością za złe okucia. Dostarcza je „Metal-Plast” z Poznania. To jest nowoczesne urządzenie, ale źle rozwiązane. Drzwi też zaprojektowane są oszczędnościowo: ramka drewniana, w środku kratownicowa z papieru, obicie z płyt pilśniowych. Jak dostanie się do tego wilgoć, drzwi „puchną”. Powinny być malowane fabrycznie,

nie ich trwałoby jeszcze kilka miesięcy i nie zmieścilibyśmy się w planie rocznym. O tyle mieszkań mniej mielibyśmy w tym roku.

L.: — Może i tak. Ale dlaczego nie zrobi się żadnego zebrania, nie uprzedzi, tylko: bierzysz albo damy komu innemu. A wiadomo, że jak ktoś czekał dziesięć lat, to już zażądał za czterema ścianami, jakie by one nie były.

P.: — To był wyjątkowy przypadek. Zresztą Spółdzielnia dała farbę, wykładzinę. Bardzo wielu lokatorów woli samodzielnie wykańczać mieszkanie.

L.: — Ale jakie to koszty!

P.: — Przecież zwracamy za robociznę.

L.: — Tak. 2600 złotych za M-4. A majster za malowanie i położenie wykładziny bierze minimum dwanaście tysięcy. Dlaczego w innych województwach mogą zwracać nawet po trzydzieści tysięcy?

P.: — Tam dają tapety i wykładzinę dywanową.

L.: — To dlaczego nie dają u nas?

wszystkich. Trzeba sobie powiedzieć otwarcie: wszystkie koszty pokrywa członek. To budowlani dyktują warunki.

D.: — No, Prezesie! Nie zapominajmy, gdzie tkwi tego przyczyna. Prawda, że braki materiałowe, że nierzadko robotnik nie ma co robić, a potem — bo przecież za stanem mu nie płacą — nadrabia kosztem jakości. Ale niech mi Prezes powie, co w takim razie z przygotowaniem dokumentacji placu budowy? Przecież to należy do obowiązków Spółdzielni. W tym roku, dzięki wam, musimy pracować na dokumentacji szczałkowej. W trakcie roboty trzeba ściągać geologa, projektanta...

P.: — Ale z dźwigami do budynków średnio wysokich to wy nawaliliście.

L.: — Aha, to dlatego buduje się teraz w środku osiedla?

D.: — Dokumentację, Prezesie, zrobiliście tylko na te budynki, które już stoją. A ze średnio wysokimi jest trochę inaczej. Przekroczyliśmy już normę dziesięciu procent,

DANUTA SOBOLEWSKA

marzenia

specjalną farbą chemoutwardzalną. Niestety, ostatnio musimy robić to na miejscu, zwykłą olejną, która niedostatecznie chroni przed wilgocią. Nie jesteśmy bez winy, ale większość niedociągnięć nie zależy od nas. Myślę, że Spółdzielnia to rozumie, skoro przyjmuje mieszkania. Może przecież nie przyjmować.

P.: — Jeżeli ja odbieram budynek na prowizorycznym podłączeniu i mam słowną gwarancję Dyrektora, że za dwa tygodnie wszystko będzie w porządku, a już na drugi dzień nie ma nawet tej prowizorki, to co począć? Owszem, narobić krzyku na całe województwo, ale zanim to nabierze mocy administracyjnej, upłynie miesiąc. Na wykonawcę nie ma mocnych. To walka z wiatrakami. Nic nie poradzę, dopóki on będzie sprawował nadzór inwestorski. Prawdziwy inwestor nie ma nic do gadania. Może tylko przyjąć lub nie przyjąć roboty.

L.: — Kto płaci za usuwanie usterek?

D.: — Oczywiście, nasze przedsiębiorstwo. Dotyczy to wszystkich napraw, łącznie ze stolarką.

L.: — Czy nie prościej usuwać je przed wprowadzeniem się mieszkańców?

P.: — Jak pan myśli, co jest większą szkodą społeczną: przyjęcie budynku z usterekami czy nieprzyjęcie wcale? A może uważa pan, że zrobiliśmy niesłusznie biorąc mieszkania w stanie surowym? Wykończe-

D.: — Inwestor nie chce płacić. A i nie bardzo. Ma czym. Trzeba było w odpowiednim czasie zadziałać w Zjednoczeniu. Niektóre województwa wywalczyły ponad osiem tysięcy limitu na jeden metr kwadratowy, a my mamy 4300. Oczywiście, wykładzinę łatwiej jest kłaść, mielibyśmy nawet większą zdolność przerobową, ale to drożej kosztuje. Podobnie z tapetą. Za metr kwadratowy pobiałowanej ściany płaci się dwadzieścia dziewięć groszy, za tapetę co najmniej dziesięć złotych. Ale przecież lokator może się dogadać ze Spółdzielnią, żeby mu położono taki materiał, jaki sobie życzy. Był tylko był dostępny w handlu.

L.: — Coś takiego. Jeszcze nikt z moich znajomych nie potrafił dogadać się ze Spółdzielnią. Każdy sam przerabia, co może dorabia, co trzeba zrywa, przykleja...

D.: — I marnotrawi. Uchwała nr 42 CZSBM z roku 1978 zobowiązuje spółdzielnię do informowania członków o możliwościach wykonania robót wykończeniowych.

P.: — To nie jest takie proste, jakby się wydawało. Wykonawca z reguły nie wywiązuje się na czas ze swoich zobowiązań. Spółdzielnia nie jest nigdy pewna, czy blok zostanie oddany, czy nie. Czasami przyjmujemy go częściowo, mieszkaniem. Działamy na zasadzie samowystarczalności. Jeżeli budowlani coś zawalają, to obciąża nas

bo tylko tyle można ich budować w stosunku do niskich, i musieliśmy przyhamować. Pretensje należy kierować raczej pod adresem projektanta. On też powinien znać przepisy.

L.: — Prezesie, jeżeli można, jeszcze jedno słowo o obowiązkach Spółdzielni. Kiedyś w budynkach byli dozorczy, potem administratorzy. Teraz rządzą wszyscy, czyli nikt?

P.: — Na osiedlu mamy sprzątaczy, a w budynku administracji urzędują konserwatorzy.

L.: — Ładnie to brzmi, ale trzeba wiedzieć, co się dzieje, gdy zdarzy się awaria. Nikt nie wie, do kogo się zwrócić. Bardzo często zdarza się zalewanie mieszkań. Dostają się do zaworów nie sposób. Zamknięte, a klucza do drzwi nie ma.

P.: — Jest u konserwatora, który ma telefon. Prezes zresztą również.

L.: — A wie pan, ile telefonów jest w osiedlu? Podejrzewam też, że konserwatorzy nie mają nocnych dyżurów. Czemu nie można powierzyć klucza komuś z lokatorów lub sprzątaczek?

P.: — Zawór może zakręcić tylko fachowiec. Pół obrotu za dużo, i cała sieć ciepłownicza rozregulowana. A ci lokatorzy... W ubiegłym roku wylamali nam trzydzieści drzwi. My wiemy o niedomaganiach, ale trudno je przeskoczyć. Nie stać nas na to, aby na każdy blok dać konserwatora, administratora. Trzeba szukać jakiegoś logicznego wyjścia, tyl-

penetracje



ko, mówię, nie ma warunków. Dla-
czego my nie mamy gardłowych
spraw w starych osiedlach, gdzie
ludzie już nam dorosli? Tutaj nie
możemy się takiej społeczności do-
chowac!

L.: — Może w końcu udało się
Spółdzielni zorganizować tam komi-
tety blokowe?

P.: — A jak pan sobie wyobraża?
Nie ma chyba w Polsce osiedli bez
komitetów blokowych.

L.: — Więc osiedle Jantar jest
wyjątkiem? Przypuszczam, że zda-
rzają się tu i inne unikalne sprawy.
Np. opłaty czynszowe za mieszka-
nie, w którym lokator nie może je-
szcze zamieszkać. Kiedy się wpro-
wadza, płaci od daty przekazania
budynku Spółdzielni. To jest nie-
sprawiedliwe. Nawet ci, którzy o-
trzymali mieszkania w stanie suro-
wym, wpłacili i płacą od chwili do-
stania kluczy, a nawet klucza. Wia-
domo przecież, że nie mogli mie-
szkać w surowym betonie. Przepiso-
wo mają na wykończenie sześć mie-
sięcy. Kosztuje ich to kilka ładnych
tysięcy.

P.: — Pracujemy bezwynikowo.
Nie wolno nam mieć nawet zło-
tówki zysku. Niektórzy mówią, że
jesteśmy najbogatszym przedsiębior-
stwem w Łomży. Ludzie nie mają
pojęcia, co to jest spółdzielczość.
Często zdarza się, że różne instytu-
cje zwracają się do nas o pienia-
dze na inaprezy. Tymczasem my sa-
mi ich potrzebujemy. Może nawet
nie tyle gotówki, co limitów. Nie-
stety, LPB budowało bardzo tanio
i w konsekwencji Komisja Planowa-
nia ustaliła dla nas bardzo niski
koszt normatywny jednego metra
kwadratowego — 6350 złotych. Musi
się w tym zmieścić nie tylko koszt
mieszkania, ale i usługi, zbrojenie
itp. W żadnym przypadku nie mo-
żemy tej sumy przekroczyć. Na
każdą inwestycję zaciągamy kre-
dyt. Bank przyjmuje tylko to, co
przewiduje normatyw. A materiał
jest reglamentowany. W związku z
tym żaden projekt inwestycyjny nie
odpowiada potrzebom w dziedzinie
budowy dróg i sieci usługowej. Je-
żeli chcemy położyć chodniki, to
np. kosztem miejsc parkingowych.
Projekt przewiduje tylko tzw. ciągi
pieszo-jezdne. Nie jest to dla miesz-
kańców ani wygodne, ani bezpiecz-
ne.

D.: — Nie będą też chyba zado-
woleni z ilości pawilonów handlo-
wych. Poza dwoma, już wybudowa-
nymi, można przewidywać najwy-
żej trzy.

L.: — Niemożliwe! Pięć sklepów
na jedenaście tysięcy mieszkańców?
Śmiesznie mało! Przecież to już spo-
re miasto.

P.: — Może i mało, ale normy
projektowe są normami, a koszty
jednostkowe — kosztami. Możemy
tylko wspólnie ponarząć.

L.: — Nie będzie żadnych kwi-
ciarni, barów, kawiarenek?

P.: — Kawiarnie? Żadnych ka-
wiarni nie przewidujemy. Z tym są
tylko kłopoty. Pijatyki i rozróby.
Osiedle ma być czyste i porządne.
Możemy co najwyżej wydać zezwo-
lenie na jakąś prywatną budkę, sz-
szłykarnię, jeżeli ktoś się zgłosi.

L.: — Gdzie indziej będziemy pra-
cować, bawić się, żyć. Na osiedlu
tylko nocować. Szczególnie zimą,
kiedy ciepło jest jedynie pod koł-
drą.

P.: — To nie jest opinia w stu
procentach prawdziwa. W ubiegłym
roku były przerwy w ogrzewaniu,
spowodowane krótkimi awariami
ciepłowni. Każde urządzenie tech-
niczne ma prawo się psuć.

L.: — W czasie „zimy stulecia”
ciepłownia grzała, ale kaloryfery
pękały. Gdyby były żeliwne...

P.: — Grzejniki pękały, pękają i
będą pękać. Taka jest ich wartość
użytkowa. Nie opłaca się montować
żeliwnych, które wytrzymałyby ca-
ły okres trwałości budynku.

L.: — Jaki to okres?

P.: — Diabli wiedzą. Określamy
w przybliżeniu na sześćdziesiąt, o-
siemdziesiąt lat. Może więcej. Na-
sza pani technolog mówi, że pięć-
dziesiąt. A pan, Dyrektorze?

D.: — Trudno powiedzieć coś pew-
nego. Sama konstrukcja jest solid-
na. Nie wiemy tylko dokładnie, w
jakim tempie paruje styropian za-
pewniający izolację termiczną. Po
dwudziestu latach jeszcze jest. Mo-
że wyparuje za pięćdziesiąt, może
za sto lat.

L.: — Panie Dyrektorze, a nie
można by budować wyłącznie ze
styropianu? Za kilkadziesiąt lat
wszystko wyparuje i przynajmniej
nie będziemy się wstydzili za to, co
sknociliście.

Ależ się rozgadaliśmy, rozmarzy-
li. Wyobraźnia to jednak niebezpie-
czna rzecz. Lepiej wystawić głowę
za okno, ostudzić. Deszcz jakoś prze-
stał padać, ludzie wyszli, zagadują
do siebie.

— Kiedyś, jak robili pierwsze
mieszkanie, to pytali, czy się chce

wykończone, gdzie itd. Teraz wszy-
stko odbywa się bez dyskusji. Tylu
potrzebujących, że jak jeden kapry-
si, to drugi weźmie. Nawet „Locum”
rozdaje z grzybami.

— Ja tam jestem zadowolony, bo
czekałem tylko sześć lat. Usterki
sobie sam naprawiłem. Po co mi ich
komisja? Może się i należy, żeby
oni usuwali, ale kto by na to pa-
rzył. Ludzie się przyzwyczaili. Re-
klamować? Co najmniej dziesięć ra-
zy trzeba by chodzić do Spółdzielni.
Mówią, że dopiero Białystok decy-
duje o usuwaniu usterek. No to po
co sobie i innym głowę zawracać?

— Nigdy bym nie pomyślała, że w
nowych mieszkaniach mogą być ta-
kie grzyby. W łazience zupełny kit,
ściana się rozłazi. Wentylacja jest
bardzo słaba. Gorącej wody nie bę-
dzie podobno do końca października.
Łazienki nie mogli już chyba zrobić
mniejszej. Jak się wstawił umywalkę
i pralkę automatyczną, nie ma się
gdzie ruszyć.

— W ubiegłym roku nie dogrze-
wali. My wypaliliśmy przez to pra-
du za dwa tysiące złotych, a ekwi-
walent wynosił osiemdziesiąt zło-
tych. To są oszczędności!

— W jednym pokoju na ścianie
rośnie trawa. Mąż traktuje ją jako
wskaźnik wilgotności. Na siano po-
czekamy jeszcze dość długo.

— Wózkarnie, pralnie, suszarnie
są nieczynne, chociaż już rok mieszk-
amy. Jak ktoś zostawi odkręcony
kran i woda zalewa innym miesz-
kanie, to trzeba się włamywać albo
do sąsiada, albo do pomieszcze-
nia z zaworami. Konserwatora nie
znajdziesz.

— Zrobili koło nas parking, ale
nie ma do niego dojazdu. Najwyżej
przez trawnik. Są domy, pod które
karetka pogotowia nie podjedzie.

— Najładniejsza w mieszkaniu
jest loggia, to sobie tam często sia-
dam. I widzę: jeden robotnik śpi na
desce. Położył gazetę dla wygody.
Kilku pociąga z butelki w przy-
szłym M-2. Śmieci fruują po o-
siedlu. Obudowa jest, tylko pojem-
ników brak. Ale za to są szczury.

Znowu pada deszcz. Naprzeciw
stawią nowy dom. Gipsowe ścia-
ny nasiakają wodą. Pewnie już
wkrótce użyję komuś dmuchawy,
słoneczka i kilku dobrych rad. Niech
sobie pomarzy.

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI
Fot. Gabor Lőrinczy

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4.

wóz właśnie wyjechał i trzeba so-
bie samemu poradzić. Zalepiłszy
zawór czym się dało i rzeczywiście
gaz przestał się ulatniać. Niestety,
na krótko. Około 21.00, gdy znowu
weszłam do kuchni, poczułam, o-
stry już wtedy, zapach gazu. Ba,
nawet słysząc, jak się ulatnia. Na
nic nie zdało się uszczelnianie za-
woru i po paru minutach całe
mieszkanie znalazło się w stanie,
wskazującym na celowe wytruwa-
nie rodziny. Usiadłam więc przy te-
lefonie i zaczęłam zastanawiać się,
gdzie dzwonić: do straży pożarnej,
pogotowia ratunkowego, milicji, czy
może od razu do zakładu pogrzebo-
wego. Zdecydowałam się jednak na
telefon do „Korgazu”. Przecież po-
winni coś z tym zrobić. Ale niko-
mu chyba jeszcze nie przyszło do
głowy, że w Łomży może się u ko-
goś ulatniać gaz z butli, bo zno-
wu nie udzielono mi ani pomocy,
ani konkretnej porady. Przyjmujący
telefon radził mi wynieść ją na
podwórko. Nie wiedział chyba, ilu
jest chętnych na butle. Pozostała
MO. Funkcjonariusz poradził, by
butlę wynieść na balkon. Tak też
zrobiliśmy. Nazajutrz wymieniłono
nam butlę. Sprawa więc zakończyła
się w miarę pomyślnie, ale nasuwa-
ją mi się w związku z nią smutne
refleksje. Dlaczego w mieście, gdzie
prawie wszyscy ludzie korzystają
z gazu w płynie nie ma właściwe-
go pogotowia? Czy naprawdę trze-
ba czekać, aż dojdzie kiedyś do tra-
gicznego wypadku?

GRAŻYNA KULESZA
Łomża

*

„Kontakty” są naszym pismem i
tylko od nas zależy czy będą a-
trakcyjne i lubiane. Dlatego też po-
winniśmy pisać do niego w każdej,
ważnej naszym zdaniem, sprawie,
chwalić się osiągnięciami, piętno-
wać to, co utrudnia życie (...) Tyle
wokół nas nieprawidłowości, mar-
notrawstwa (...) Podam tylko dwa
krańcowe różne przykłady.

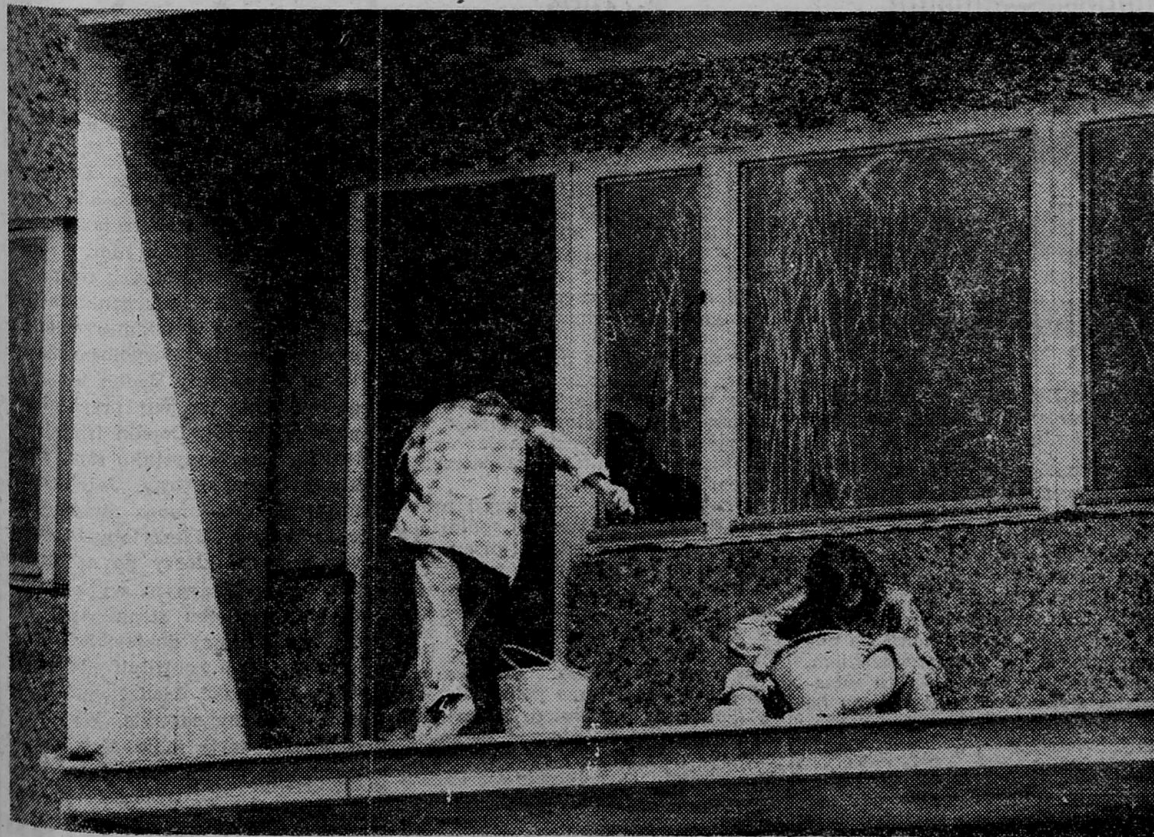
15 sierpnia byłem świadkiem jak
w sklepie gospodarstwa domowego
w Nowogrodzie rolnik kupował
cztery sprężynki służące do regulo-
wania nakrętki zaciskającej kosę
przy kosiarce konnej. Sprężynka
taka kosztuje dwa złote i pozornie
wszystko byłoby w porządku. Ale
tylko pozornie, bo dlaczego aż czte-
ry? Sam od osiemnastu lat eksploat-
uję taką kosiarkę i nie miałem
ze wspomnianą sprężynką żadnych
kłopotów. Zresztą, gdyby nawet
wysiadła, poszedłbym i kupił na-
stępną. Problem w tym, że teraz
mogłoby jej już nie być. Sprawa na
pozer błaża, ale przecież to samo
robi się ze stalą, eternitem, wap-
nem, szkłem itp.

A oto druga sprawa. Niby szuka-
my rezerw. Tymczasem pod nosem,
w gminie Zbójna, znajduje się naj-
większa rezerwa naszego wojewódz-
twa — około półtora tysiąca hek-
tarów łąk. Od lat czekają one na
mellorację i zagospodarowanie. W
chwili obecnej zalane są wodą i
oczywiście nie dają żadnych korzy-
ści, wręcz przeciwnie — nawet stra-
ty. Były lata, gdy służba rolna przy-
działała pulę nawozów również na
te łąki. Rolnicy musieli je wyku-
pywać i nawozy dostawiano topiło
się w wodzie. Przed laty grupa
cwaniaków i inżynierów opracowa-
ła plan zagospodarowania obiektu,
ale zaraz po jego opublikowaniu
na łamach „Naszej Wsi” każdy roln-
ik wiedział, że nigdy nie dojdzie
do jego realizacji, ponieważ kosz-
torys sięgał kilku miliardów złotych
(...). Tymczasem wystarczyłoby do-
prowadzić do pierwotnego stanu
istniejące tam już, z okresu mło-
dziejowego, rowy, porobić za-
stawki, zatrudnić konserwatora (o-
czywiście na koszt rolników). Kogo
jednak przekonać tymi argumenta-
mi? Taki list zawsze pozostanie
głosem wołającym na puszczy, bo
do rolnika umie się tylko apelować
i odwoływać to „ego ambicji i o-
bywatelskiego obowiązku, żeby co-
raz więcej i lepiej produkował.

JAN GİTEK
Poredu gm. Zbójna

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

z usterkami



penetracje



W Nr. 5 z dnia 27.VII. br., tygodnika „Kontakty” w artykule red. Heleny Kowalik pod tytułem „Co komu w duszy gra” został opublikowany anonim, pomawiający pracowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego, prowadzących zajęcia w Punkcie Konsultacyjnym Zawodowego Studium Administracji w Łomży.

Dobre zwyczaje zakazują publikować w prasie informacji anonimowych, gdyż są one niepewne i niesprawdzone. Redakcja zaś nie tylko odstąpiła od tego zwyczaju, ale także dodała swój komentarz stanowiący faktyczny jego poparcie.

W Uniwersytecie Warszawskim pracuje ponad 3 tysiące nauczycieli akademickich, w tym wielu wybitnych naukowców oraz znakomych fachowców reprezentujących wszystkie dziedziny nauki uprawiane w uczelni.

Potrzeby makroregionu północno-wschodniego doprowadziły do rozszerzenia naszej działalności na ten teren (filia UW w Białymstoku oraz Punkty Konsultacyjne w Łomży, Ciechanowie, Płocku, Świdrze, Ostrołęce i Suwałkach). Ze względu na różnorodność prowadzonych w tych jednostkach zajęć, wielu pracowników naukowych podejmuje w nich dodatkowe obowiązki. Stąd publikacja anonimów naraża dobre imię całego naszego środowiska akademickiego.

Podjęliśmy szereg działań zmierzających do wyjaśnienia przedstawionej sytuacji. Fakty podane w anonimie, możliwe do sprawdzenia, okazały się nieprawdziwe. Redakcja więc nie tylko wykazała brak znajomości dobrych obyczajów, ale również poczucia odpowiedzialności za słowo drukowane w swoim czasopiśmie.

Wyniki przeprowadzonej kontroli w Łomży oraz rozmowy z nauczycielami prowadzącymi tam zajęcia, upoważniają nas do wyrażenia protestu przeciw takiej formie infor-

co komu w duszy gra

mowania opinii publicznej o działalności Uczelni.

Jednocześnie oczekujemy na wyjaśnienie ze strony redakcji „Kontaktów”, motywów zamieszczenia na łamach omawianego anonimu.

prof. dr ZYGMUNT RYBICKI
Rektor
Uniwersytetu Warszawskiego

* * *

Uściślijmy fakty: reportaż „Co komu w duszy gra” nie składa się głównie z bulwersującego anonimu i dopisu, czy komentarza autorskiego. Jak już sugeruje sam tytuł, w artykule mowa o subiektywnym odczuciu mieszkańców Łomży usatysfakcjonowanych awansem miasta na stolicę województwa. Anonim jest tylko drobnym elementem w mozaice opinii, nastrojów i sądów ludzi.

Jednym z powodów słusznej dumy łomżyńskich stał się Punkt Konsultacyjny Zawodowego Studium Administracyjnego. Piszę o tym, przytaczając wypowiedzi przedstawicieli miejscowej inteligencji. Ale duma, radość ze spełnienia marzeń, uwiecznienia wysiłków podejmowanych jeszcze w warunkach powiatowych, gdy ścieżki do Łomży filii szacownego Uniwersytetu Warszawskiego wydawały się nierealne, jest mądra plotkami o niewłaściwym zachowaniu się niektórych delegowanych naukowców. Reportaż jest daleki od wmawiania czytelnikowi, że wieści o nieobyczajnym zachowaniu się wykładowców są

prawdziwe — jednak, jeśli ma to być relacja o nastrojach, należało odnotować i takie głosy. Zwłaszcza, że powtarzały się niemal w każdej rozmowie z dziennikarzami.

Była też inną przyczyną takiej konstrukcji artykułu: jeden z cieszących się ogólnym szacunkiem mieszkańców Łomży zwrócił moją uwagę na rolę „Kontaktów”, jako pisma służącego regionowi i udostępniającego swe łamy dla różnych, także kontrowersyjnych tematów. — Po co — mówił on — ślać anonimów aż do Warszawy, nie lepiej tu, na miejscu oczyścić atmosferę wokół młodzieźkiej uczelni? Zwłaszcza, że bardzo trudno jest pójść tropem nie podpisanego listu. Tylko wydrukowanie go, może, na zasadzie nożyc uderzających w stół, wyzwolić dyskusję publiczną.

I ja uważam, że metoda wrzucania anonimu do kosza jest elegant-sza. Dziennikarze nie pracują jednak w białych rękawiczkach. Zbyt wiele mamy w kraju dowodów na to, że tylko uporczywe wysyłanie anonimów doprowadziło do uzdrowienia chorej sytuacji. A przecież cytowany w moim reportażu anonim nie jest pierwszym na ten temat. Bardzo podobny w treści przyszedł do redakcji Trybuny Ludu przed niepełną dwoma laty. Był nawet podpisany — fałszywym nazwiskiem. Wówczas postąpiono tak, jak życzyłby sobie Pan Rektor — anonim poszedł na dno szuflady. Gdy jednak kolejny rocznik studentów powtórzył skargę w liście do Trybuny, a także, jak wynikało z dołączonej informacji, do innych redakcji, sprawa dojrzała do ujawnienia jej. Nowy tygodnik „Kontakty” wydał mi się miejscem wprost idealnym do publicznej dyskusji nie tylko o prawdziwości anonimu, ale i wiążącym się z tym faktem braku odwagi wypowiadania własnego zdania.

HELENA KOWALIK

we dnie i w nocy

W związku z ukazaniem się artykułu w gazecie „Kontakty” z dnia 14.09.1980 r. pt. „We dnie i w nocy” — my mieszkańcy wsi Chojny Młode zostaliśmy w dużym stopniu wstrząśnięci jego treścią.

Zawarte w artykule zarzuty w stosunku do dr Szymańskiej uważamy, iż są natury osobistej i złośliwej a same wypowiedzi tych osób są nawet błahę i śmiesznej treści, co nie potwierdza się ze stanem faktycznym jaki istnieje w Ośrodku Zdrowia w Szczepankowie.

My, mieszkańcy Chojny Młodej żyjemy na co dzień z dr Szymańską i znamy faktyczny tok jej pracy również i całej placówki. Wiemy dokładnie, że doktor Szymańska przejęła ośrodek po felcerze. Musiała włożyć ogrom pracy, aby ludzi do stosować do siebie jako rzeczywiście do fachowca. Nie chcemy tu szczegółowo opisywać wszystkich jej osiągnięć, gdyż byłoby to zbyt długie. Uważamy, iż Redakcja jest o tym poinformowana — jako przykład niech posłuży wypowiedź Dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Łomży doktora Stefana Kuroczyńskiego. Chcemy zaznaczyć, że doktor Szymańska jest lekarzem z prawdziwego zdarzenia kocha swój zawód, jest człowiekiem, który kocha wieś, ludzi. Szczególnie cenimy jej stosunek do osób starszych, schorowanych, dla których jest cierpliwa i wyrozumiała.

Droga Redakcjo! Zastanówmy się jeszcze raz nad słowami zawartymi w ostatnich zwrotach artykułu, czy faktycznie tej osobie nie należało się prawo do swojego prywatnego życia i ciepła rodzinnego? Chyba byłoby błędem żebymy powiedzieli: nie. Jednak z artykułu wynika, że ci złośliwi przeciwnicy nie biorą tego pod uwagę, i starają się robić zamęt w społeczeństwie.

Na zakończenie chcemy na ręce Redakcji złożyć podziękowanie doktor Szymańskiej za dobrą pracę i życzyć dalszych sukcesów i osiągnięć w naszym Ośrodku.

(podpisy 36 mieszkańców)

Jako sołtys wsi Chojny Młode podzielać opinię mieszkańców całej wioski i stwierdzam, że niesłusznie doktor Szymańska została oskarżona. Uważam, że złośliwość jednostki, ingerowanie w życie prywatne doktor Szymańskiej nie może wpływać na jej pracę w ośrodku zdrowia.

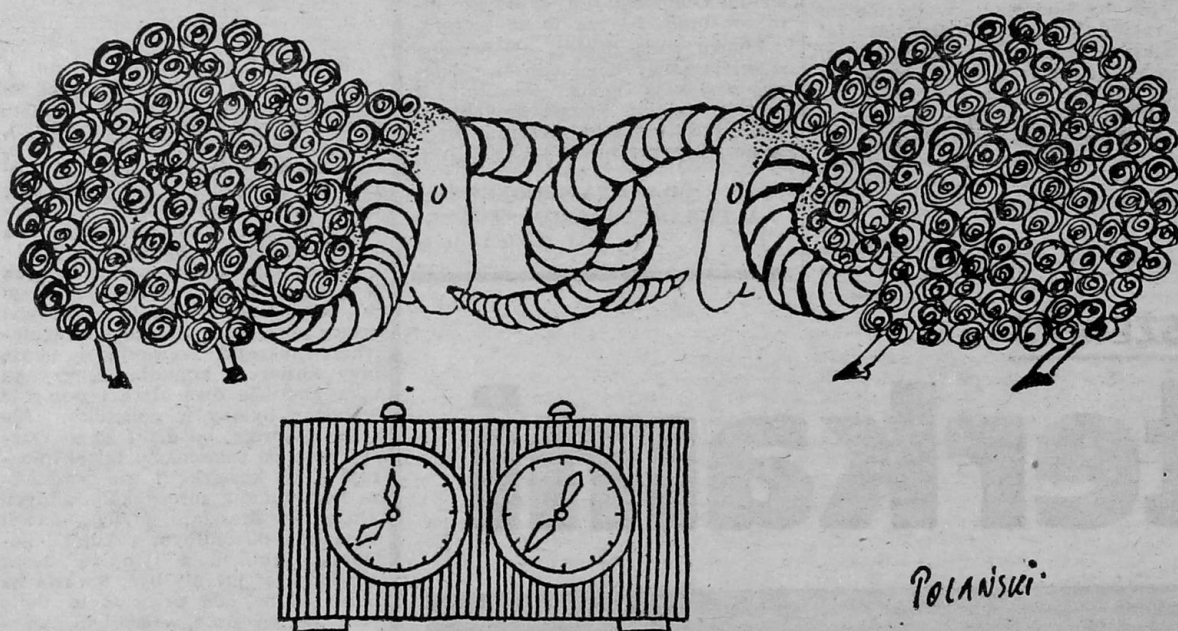
STANISŁAW ŻEBROWSKI
Sołtys gminy Łomża
Sełectwo Chojny Młode

* * *

Doktor Jadwiga Szymańska tak jak ma zaciekle przeciwników, tak samo oddani są jej zwolennicy. Nie ulega wątpliwości, że tych „za doktor” jest więcej. Zwolennicy przejęli sposoby swoich adwersarzy. Zbierają podpisy, wysyłają petycje aby tylko doktor z nimi została. Nawet po kilkakrotnych rozmowach z mieszkańcami Szczepankowa trudno jest ocenić w jakim stopniu nienawiść i zaciętość wyolbrzymia stawiane jej zarzuty. Jedno jest chyba pewne, spór we wsi przybrał niepokojący obrót. Dopóki istnieje — tracą przede wszystkim sami mieszkańcy Szczepankowa. Jeżeli będzie trwał dalej — mogą stracić jednego lekarza. Uderzyłoby to dotkliwie w tych, którzy go najbardziej potrzebują. Jedynym wyjściem są ustępstwa z obu stron. Apel ten dotyczy i samej doktor. Szkoda, że narastającego konfliktu nie próbowały rozwiązać władze gminne i nadzór służby zdrowia. Wiesz pozostawiono samej sobie. Czy bez pomocy, mediacji, rozwiąże swój spór?

TERESA POLECKA

(W.K.)



Rysunek Marka Polańskiego

Czujemy się urażeni sposobem opisania w artykule Teresy Poleckiej „Ponad największe budowle” („Kontakty” 11/80) spraw związanych z budową pawilonów przy ul. Świerczewskiego.

Dziwi nas fakt, jak można publikować na łamach prasy sprawy, które są naświetlane jednostronnie. Pragniemy dobitnie podkreślić, że nie mieliśmy żadnego wpływu na tok załatwiania formalności związanych z przydzieleniem nam działek pod budowę pawilonów na zakłady rzemieślnicze. Architektonicznie też musieliśmy się dostosować do postawionych nam warunków, w tym właśnie z budową piętra mieszkalnego.

Jak można nas winić, że chcemy kosztem własnych oszczędności finansowych poprawić stan usług w mieście, a jednocześnie zabudować „dziury” od kilkudziesięciu lat leżące bezużytecznie.

Czy można przypisywać nam brak dobrej woli z powodu chęci wykupu działek, jeżeli przedstawiający się za właściciela Pan Bielicki do chwili obecnej nie miał i nie ma uregulowanych praw własnościowych? To my przede wszystkim chcieliśmy się dogadać z Panem Bielickim, który stawiał nam ciągle wymagania, zmienne ceny za działki,

ponad największe budowle

a sprawy związane ze sporządzaniem aktów notarialnych pozostawiał nam do załatwienia.

Nie widzimy też złej woli Urzędu Miasta, gdyż przed wnioskowaniem o wywłaszczenie jego przedstawiciel rozmawiał kilkakrotnie z właścicielami o dobrowolnym wykupieniu, na co spadkobiercy nie wyrazili zgody. Dopiero na podstawie obecnie trwającej sprawy sądowej Pan Bielicki doszedł z nami do porozumienia, a my z wyprzedzeniem, bez utrzymania jeszcze aktu własności lub dzierżawy, wpłaciliśmy na jego ręce odpowiednie kwoty pieniężne.

Uważamy, że należą się nam słowa uznania społecznego za odwagę inwestowania w tak ciężkich warunkach zaopatrzeniowych oraz za

dażenie do poprawy usług w naszym mieście.

BIKOWSKI STANISŁAW
CENDROWSKI MIECZYSLAW
CZARNECKI FRANCISZEK
ZGRZYWA STANISŁAW
Łomża

Mamy tu do czynienia z dwoma różnymi problemami. Pierwszym jest sprawa budowy. Żywie szacunek nie tylko dla pracy rzemieślników, ale dla pracy w ogóle. Uważam też, podobnie jak Panowie, że należą się Wam słowa uznania społecznego za inwestowanie w tak ciężkich warunkach zaopatrzeniowych.

Drugi problem — sytuacji prawnej. Prezes warszawskiej spółdzielni mieszkaniowej, o którym pisano niedawno dosyć obszernie, przydzielał mieszkania m.in. ludziom ogromnie ich potrzebującym. Tyle że robił to w wielu przypadkach w sposób kłócający się z prawem. Podobnie było i w tym przypadku. Budowa powstaje w atmosferze podejrzliwości, wzajemnych pomówień. I choć jest bez wątpienia pożyteczna — rozpoczęła ją niezgodnie z prawem. W jakim stopniu — wypowie się Prokuratura Generalna, która sprawę aktualnie rozpatruje.

polemiki



W przededniu 31 rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej zwróciliśmy się do kolegów z redakcji „Freies Wort”, tygodnika wychodzącego w — zaprzyjaźnionym z regionem północno-wschodnim — okręgu Suhl, z prośbą o zaprezentowanie naszym Czytelnikom miasta, w którym żyją i pracują.

7
KONTAKTY
12 X 80

Dostojnie i milcząco, w słońcu i na wietrze, w deszczu i śniegu patrzy od 70 lat z cokołu pomnika na rynek w Suhl kamienny rusznikarz. W prawej ręce ma młotek, w lewej ostrze miecza na kowadło. Ubrany jest tylko w koszulę i skórzany fartuch; na głowie ma beret baskijski. Przecież kowal nie marzenie przy pracy. Nikt nie przypuszcza nawet, że zdumiewa go gwałtowny rozwój jego miasta, najmniejszej metropolii okręgowej NRD.

Od roku 1535, gdy przybyli tu pierwsi rusznikarze, ponieważ znaleźli w dolinie Lasu Turynskiego wszystko dla swojego rzemiosła — żelazo, drewno i wodę — główną gałęzią przemysłu Suhl stała się produkcja broni. Osiem lat przed osiedleniem się pierwszego rusznikarza w Suhl miejscowość ta otrzymała prawa miejskie. Liczyła wtedy 1256 mieszkańców. W roku 1977 ponad 40-tysięczne Suhl obchodziło 450 rocznicę nadania praw miejskich. Od stuleci nie zrobiono w Suhl tyle, co od roku 1945, a w szczególności w 31-lecie istnienia NRD (7.10.1949 r.).

Gdyby kamienny rusznikarz mógł zejść z cokołu i ruszyć jako przewodnik po mieście, wiedziałby z pewnością, skąd ma zacząć oprowadzanie. Może od historycznej brukowanej ulicy, przy której w latach 1976/77 zostały odbudowane domy w stylu rokoka i biedermeier, przez co powróciły do swojej dawnej świetności. W jednym z nich mieści się galeria sztuki. Jeszcze przed kilku laty ta wąska uliczka była główną arterią komunikacyjną dla ruchu tranzytowego. Dziś służy jako miejsce spacerów i zakupów w wielu niewielkich, miłych sklepach.

Najlepiej byłoby, gdyby rusznikarz zaprowadził nas na górę Domberg (676 metrów n.p.m.), leżącą u bram miasta. Stąd widać najlepiej to, co nowe: 7 000 mieszkań, 8 no-

wo wybudowanych szkół średnich, 11 przedszkoli, miejską halę „Przyjaźń” (mieści 2000 osób; przy jej budowie pracowali także polscy budowlani z przedsiębiorstwa „Budimex”), nowoczesną krytą pływalnię (zbudowaną w roku 1976) oraz 25-piętrowy wieżowiec, który jest już na ukończeniu.

Dwóch na trzech mieszkańców Suhl mieszka w nowym budownictwie (tj. 29 999 z 42 000). Ze szczytu Domberga widać także nowy szpital okręgowy z 700 łózkami i hotel czasowy dla chłopów i robotników rolnych na 900 miejsc, usytuowany na górze Ringberg.

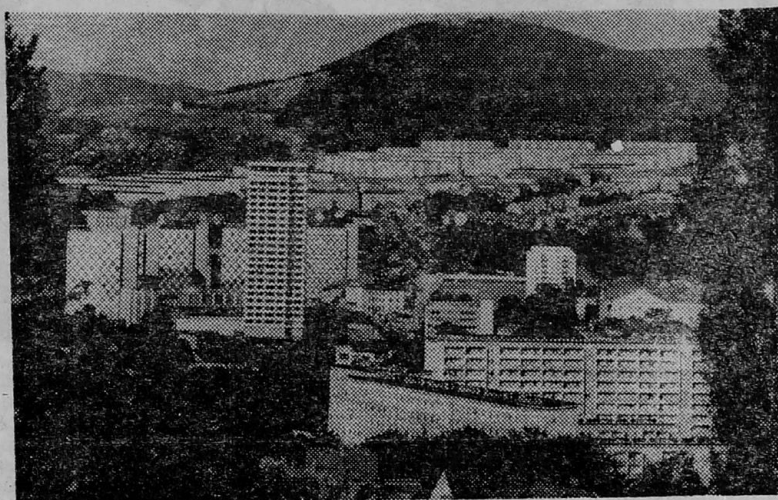
Trzydzieści lat temu Suhl był przystanią robotników przemysłowych, którzy mieszkali w domkach z gliny i zarabiali nędzne grosze w kapitalistycznych fabrykach broni i motorów.

Pierwszym motorem zbudowanym według planów ówczesnych Zakładów Simsona, należących do Radziecko-Niemieckiego Towarzystwa Akcyjnego, był „AWD” („Awtowelo”) — silna maszyna o pojemności 250 centymetrów. Dziś w ciągu półtora miesiąca produkuje się w zakładach Suhl tyle, ile w ciągu całego roku 1949. Dla przykładu: produkcja z roku 1974 została wykonana w ciągu 9 miesięcy roku 1980. Suhl produkuje dzisiaj motorowery, broń myśliwską i sportową, sprzęt medyczny oraz techniczny — dla gospodarstwa domowego.

Tego roku mieszkańcy grodu mieli szczególny powód do radości: ich rodak zdobył srebrny medal olimpijski w strzelaniu do dzika z broni wyprodukowanej w zakładzie im. Ernsta Thälmana w Suhl.

Gdyby kamienny rusznikarz miał

rusznikarz z Suhl



trochę czasu, zaprowadziłby swoich gości na odpoczynek do kompleksu restauracji „Kaluga” (250 miejsc), do restauracji „Thüringen Tourist” czy jednej z wielu mniejszych. Jeśli by ktoś przybył do Suhl na początku września, mógłby obejrzeć w „Thüringen Tourist” imprezy „Tygodnia Polskiego”, podczas którego podawane są w lokalach smakołyki z polskiej kuchni.

Corocznie przybywa do Suhl milion zwiedzających. Wielu z nich zatrzymuje się przy pięknym, starym ratuszu, obok pomnika rusznikarza. Ratusz jest pomalowany na czerwono; ma to znaczenie symboliczne. W Suhl zawsze była zorganizowana i silna klasa robotnicza. Tu powstała w roku 1875 pierwsza grupa socjalistyczna.

Podczas rewolucji listopadowej, w roku 1918, zostały w Suhl utworzone rady robotników i żołnierzy, a w roku 1920 ówczesny generał carski, Kapp, rozbił uzbrojoną klasę robotniczą. Podczas walk został uszkodzony ratusz. Z tego okresu pochodzi rym:

„Im grünem Wald die rote Stadt
die ein zeuschossen Rathano hatt”.
„W zielonym lesie jest miasto czerwone,
które ma podziurawiony ratusz.”

Podczas 12 lat panowania nazistów — 28 antyfaszystów z Suhl trafiło do obozów koncentracyjnych i więzień. Mieszkańcy Suhl walczyli aż do końca wojny przeciwko faszystowskiemu barbarzyńcy w nielegalnych grupach oporu „Triedberggruppe” i „Neubauer-Pose-v-Gruppe”. Tworzyli podwaliny nowych i sprawiedliwych czasów — pod znakiem socjalizmu i internacjonalistycznego braterstwa.

RONALD SÄNGER

Przekład
ELŻBIETY SMIAROWSKIEJ

Zdarza się, że kiedy nie wiemy, jak nazwać drobny przyrząd czy narzędzie lub chwilowo zapomnieliśmy jego nazwy, jeśli ponadto chcemy ów przyrząd potraktować żartobliwie, mówimy: podaj mi ten wihajster. Wihajster? „Wie heisset er” — to po niemiecku: „Jak on się zwie?” „Jak mu tam?” (wie — jak, heissen — nazywać, kazać, er — on). Przypomniało mi się słówko „wihajster”, wraz z jego etymologią, wtedy, kiedy podczas mojego poetyckiego renesansu w Niemieckiej Republice Demokratycznej zdarzało się, że nie znałem lub nie pamiętałem nazw niektórych rzeczy czy pojęć. Trudno uwierzyć, jak bierna znajomość obcego języka nie wystarcza do poruszania się wśród umysłów innego obszaru językowego. Już my, piszący, dobrze wiemy, jak to boli, kiedy nie da się przekazać słowami wszystkiego, co się myśli; a równie nie rozumie się w pełni tego, co chce przekazać inni.

Przeżywałem w NRD — w Berlinie i Schwerinie — w ramach wymiany kulturalnej z zagranicą, na zaproszenie Związku Pisarzy Niemieckich, przy współpracy którego związek młodzieży (FDJ) zorganizował Centralne Seminarium Poetyckie. Tegoroczne Seminarium było jubileuszowe — dziesiąte, a trwało przez cały tydzień: 10—17 sierpnia.

Przez siedem dni młodzi adepci pióra — robotnicy, studenci, uczniowie, żołnierze — w kilkunastu grupach zainteresowani mieli możliwość rozmawiania z pisarzami, a także działaczami kulturalnymi, politycznymi i gospodarczymi. Przedstawiali również własne utwory na dyskusyjnym forum, wymieniali pierwsze pisarskie doświadczenia, nawiązywali znajomości i przyjaźnie. A przyjechało ich ponad stu dwudziestu z całej Republiki Niemieckiej.

Pierwszego dnia uczestnicy seminarium — po wspólnym zwiedzeniu miasta — złożyli wianki kwiatów pod pomnikiem upamiętniającym tak zwany „marsz śmierci” więźniów obozu w Sachsenhausen, podczas

którego hitlerowcy (tuż przed wyzwoleniem przez Armię Radziecką) starali się pozbyć świadków swoich zbrodni. Nie był to jedyny akcent polityczny seminarium. W wielu wypowiedziach podkreślano na nim społeczny i polityczny charakter wszelkiej wypowiedzi literackiej.

Przewodnim tematem rozmów we wszystkich grupach seminaryjnych były związki poezji z życiem, które zmienia się z dnia na dzień i stawia coraz to nowe pytania, wymagające nowych literackich odpowiedzi. Teraz, kiedy — jak ktoś powiedział — „równiny stały się górami i na odwrót”, nie wystarczy czynienie hałasu wokół siebie, zakłócanie ciszy zwykłą czy niezwykłą zabawą słowem lub kontemplacją piękna przyrody. Trzeba wychodzić naprzeciw temu, co w naszej rzeczywistości najważniejsze i najpiękniejsze, iść śladami dobra, tropić to, co lubimy, co wypracowujemy ciężką pracą, co pomaga nam żyć. Istotą pracy poety byłoby za-

tem wyeksponowanie tego, co najbardziej istotne w życiu współczesnym. Nie przez abstrakcje jednak. Abstrakcyjna, uogólniająca odpowiedź bywa niejednokrotnie łatwa. Trzeba rozpatrywać losy ludzkie, ich konkretne uwarunkowania i sytuacje szczególne.

Oczywistością jest, że w ciągu tygodnia sztuki pisarskiej nauczyć się nie można. Nikt też nie traktował seminarium jako szkoły pisania. Podobnie jednak, jak w działalności naszego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, liczy się tam na to, że ci młodzi piszący, którzy nie wytrwają w swojej pracy, staną się co najmniej dobrymi czytelnikami lub też ludźmi upowszechniającymi czytelnictwo. A nie wytrwają zapewne jedynie ci, którym zabraknie owej iskry talentu.

Niewątpliwie wielu młodym piszącym właśnie ten seminaryjny kształt schwerińskich spotkań pozwolił na uświadomienie sobie własnych możliwości i na wybór dro-

gi dalszych poszukiwań. Pełny wybór realizacji swoich zainteresowań mieli uczestnicy seminarium w poszczególnych grupach: lirykę, satyrę, pieśń polityczną (bardzo popularną w NRD rodzaj wypowiedzi — od kilku lat odbywa się co roku w Berlinie międzynarodowy festiwal pieśni politycznej), poezję dramatyczną, prozę poetycką.

Oprócz mnie zagranicznymi gośćmi w Schwerinie byli: poeta z Mołdawskiej SRR — Petru Dudnik, tłumacz radziecki (z języków rumuńskiego, hiszpańskiego i niemieckiego) — Lew Bieński, liryk słowacki — Milan Richter i Jiří Voříšek z Pragi czeskiej.

Imprezy towarzyszące, takie jak „święto prasy” czy wystawa grafiki literackiej (zorganizowana w miejscowym muzeum), przydawały rumieńców warszatom. Podczas seminarium ukazywała się, drukowana na rotaprinie, jednodniówka „Rote Feder” („Czerwone pióro”), w której publikowano informacje o obradach i kulturalnych zjazdach, artykuły polemiczne, wiersze i... karykatury organizatorów, uczestników oraz gości.

Spośród wierszy zainteresował mnie szczególnie jeden — utwór Steffena Fischera, dziewiętnastoletniego ucznia z Zittau, miejscowości położonej w pobliżu Drezna. Prezentuję go we własnym przekładzie.

Z wizytą w Polsce

kiedy jechałem naprzeciw słońcu
ponad rzeką o różnych brzegach
nie czułem krwi moich przodków
i było tak cicho
jak w krajobrazie z polską
dziewczyną

opartą o studnię
tylko nieśmiało spojrzenia
płynęły ku mnie
prawie rozumiejąc

ANDRZEJ JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

z wizytą w NRD

rote feder Nr. 4



10. Zentrales Poetenseminar
der FDJ 10.-17. Aug.-1980
in Schwerin





DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

MĘZOWIE WALECZNI

Przedstawiciele załogi łomżyńskiego Zakładu Białostockich Fabryk Mebli również postanowili wymienić swojego kierownika, co wyrazili na pierwszym miejscu długiej listy postulatów. Na linii ataku kierownika uformowały się dwa waleczne skrzydła: jedno z nich to zakładowy komitet robotniczy, praktycznie kierowany przez zastępcę przewodniczącego, Jerzego Piorunka, zwanego „Waleśką”; drugie skrzydło stanowi kierownik tapicerni, Henryk Kapuściak. Obaj przywódcy skrzydeł żywią do kierownika Zakładu, Henryka Chojnowskiego, osobistą niechęć.

Na ogólnym zebraniu załogi w dniu 19 września br. Jerzy Piorunek sformułował następujące zarzuty przeciwko swemu adwersarzowi: skandalicznie prowadzoną politykę personalną oraz niewiarę w jego, Piorunka, wartość jako członka partii. Natomiast Henryk Kapuściak wytoczył na forum publiczne baterie argumentów zadziwiających. Mówił on: — Kierownik zawsze podejmował decyzje jednoosobowo, nigdy nie konsultował ich z sekretarzem Komitetu Zakładowego. Uważał, że jestem niewygodny, a niewygodnego trzeba utracić, udeptać! Byłem sekretarzem przez niecałe pięć lat; przez ten czas, dzięki jego metodom rządzenia, nie miałem żadnego autorytetu. Ja wiem, on jest inżynierem, czyli człowiekiem wykształconym, ale to nie znaczy, że jak ktoś czegoś nie wie, to zaraz go w leń! Kierownik musi czuć rękę sekretarza! A ten mi powiedział, że gdybym sekretarzem nie był, to by mnie zwolnił! Tak mówił do mnie, przedstawiciela partii rządzącej!

Droga zawodowa Henryka Kapuściaka, technika drzewnego, w Zakładzie nr 2 BFM przebiegała nietypowo, ale na korzyść zatrudnionego — wbrew jego własnemu opinii. Na początek, w dniu 1 kwietnia 1973 r., powierzono mu obowiązki mistrza w tapicerni, z wynagrodzeniem 2600 złotych oraz przewidzianą regulaminem premią. Po czterech miesiącach, czyli zmianie systemu płac na bezpodatkowy, otrzymał on — wraz z dodatkiem funkcyjnym — 2800 złotych. Pół roku później podniesio-

no mu zasadnicze pobory o 300 złotych, a po roku — o tyleż wynagrodzenie podstawowe i o 100 złotych dodatek funkcyjny. W styczniu 1976 r. Henryk Kapuściak zarabiał już 3800 złotych, nie licząc premii, a już w listopadzie został awansowany na kierownika wydziału tapicerni z wynagrodzeniem 3700 plus 1000 złotych dodatku funkcyjnego. Następna podwyżka (kolejne 300 złotych) przyszła dopiero ponad dwa lata później, bowiem powołana przez dyrektora BFM komisja ujawniła w tapicerni — w I kwartale 1978 r. — niedobór tkaniny pokrywającej wielkość 4535 metrów kwadratowych. Przekroczenie zużycia tkaniny w drugim kwartale tegoż roku wynosiło 6164,06, co w sumie dawało 10 699 metrów kwadratowych. W punkcie 8 protokołu komisja wnioskowała: „Do czasu wyjaśnienia przekroczenia materiału pokrywającego [...] zawiesić premię: kierownik wydziału — 80%, mistrzowie — 80%, zastępcy kier. Zakładu — 10%, kier. zmianowy — 20%”. Kierownik wydziału tłumaczył fakt tak dużego zużycia tkaniny jej niedomiarem w belach.

Sprawą można było zainteresować prokuratora; skończyła się naganą partyjną, odebraniem premii i cichym — wygłoszonym w cztery oczy — wyznaniem inż. Chojnowskiego: „Gdybyście nie byli, Kapuściak, sekretarzem, tobym was natychmiast zwolnił”, co zostało mu następnie publicznie przypominane — na wrześniowym zebraniu załogi. Nie zostało powiedziane jednak, jakie fakty były przyczyną tych słów. Henryk Kapuściak ujawnić ich nie mógł, bo jego gromkie wystąpienie nie przyniosłoby mu poklasku, natomiast Henryk Chojnowski nie chciał, ponieważ nie zamierzał zamienić sali obrad w świetlicę ze stałym ping-pongowym. Można powiedzieć, iż Kapuściak dobrze znał takt swego przełożonego, skoro ryzykował wywołanie gabinetowych rozmów. Takie to ręce miał czuć kierownik zakładu, zasłużony pracownik przemysłu drzewnego, który w ciągu 25 lat przeszedł kolejne szczeble hierarchii zakładowej i na własnej skórze doświadczył wszystkich możliwych technologii obróbki drewna.

Był za daleko od załogi, sam zagrzebał się w papierkach — serwował uszczęśliwić gości i zebranej załogi własne pieczyście Kapuściak, lecz na-

wet ja mogłam temu zaprzeczyć, bowiem dwa miesiące temu inż. Chojnowski oprowadzał mnie po Zakładzie, i nie zauważyłam, aby traktowano go jak człowieka obcego, a on sam imponował znajomością ludzi pracujących przy każdym mijanym stanowisku.

BEZ DEKLARACJI

W dniu 19 września o godzinie 14.00 świetlica zakładowa świeciła pustkami. Pomiędzy rzędami krzeseł kreślił się kierowca Banaszek i zapytywał z niepokojem, dlaczego tak mało osób przybyło spośród załogi. Siedzące w trzecim rzędzie kobiety żartowały, że dla nieobecnych ważniejsza jest kolejka w bufecie i obowiązkowi domowe.

Gdyby zebranie było poświęcone wręczaniu nagród, to wszyscy by przyszedli — podsumowała jedna z nich i poradziła, aby kierowca — nie drobny przecież mężczyzna — stanął u drzwi wejściowych, a wówczas frekwencja na pewno się zwiększy. Widocznie kierowca skorzystał z propozycji, bowiem po kwadransie sala wypełniła się po brzegi, choć i tak brakowało co najmniej 2/3 załogi. Prezydium przybyło z 25-minutowym opóźnieniem, przez co już od początku wrogo nastawilo do siebie zebranych, ponieważ wielu z nich niepokoiło się, czy zdąży na godz. 19.00 do cyrku. W pierwszym rzędzie zasiadł zakładowy komitet robotniczy i rozpoczęło od ustalenia przydatności kierownika Chojnowskiego na jego dotychczasowym stanowisku.

Sala — jakby z niechęcią do atakowania — czym prędzej oddała głos przewodniczącemu Rady Zakładowej, który na poprzednim zebraniu obciążył kierownictwo zakładu „wiązaniem” mu rąk. Wydawałoby się, że jeśli nie potrafił uzasadnić tych słów w chwili ich wygłaszania, to powinien był zgromadzić wystarczająco obciążające argumenty na czas o dziesięć dni później. Ale jemu się wydawało, że wystarczy w rozliczaniu się ze swoich czynów wskazać „kolegę”, przeto wstał i wyznał z kokieteryą, że do wypowiedzi został wyrwany niespodziewanie, więc trzeba mu wybaczyć, bo nie jest przygotowany. Po czym wyliczył całą serię liczb, które miały dowodzić o jego przydatności w Za-

kładzie; wypunktował mianowicie osoby, które udało mu się uratować przed zwolnieniem, czyli niezdrawymi zakusami kierownika. Nikt go jednak nie spytał, czy słusznie, natomiast inż. Chojnowski stwierdził, że wątpliwa jest radość z zatrzymywania w zakładzie złodziei i pijaczków, a on tylko takich typował do odejścia.

W sumie przy punkcie pierwszym, dotyczącym przydatności kierownika, padały oskarżenia zaledwie pośrednio go dotyczące. Zakład nie ma osobowości prawnej, przeto tryb załatwiania wielu spraw ustala dyrekcja instytucji macierzystej. Kierownik Zakładu nr 2 mógł zająć stanowisko zaledwie w przypadku trzech z 21 postulatów zgłoszonych przez załogę (nie licząc osobistej listy postulatów Henryka Kapuściaka, która zawierała nowy taryfikator płac oraz nowy system awansowania), dlatego inż. Chojnowski nie składał wobec zebranych efektownych deklaracji. Wygłosił je, pełniący obowiązki dyrektora naczelnego BFM, Tadeusz Pisarski, który także podpisał załącznik do protokołu z zebrania, będący dowodem reakcji władz miejskich i zakładowych na zgłoszone postulaty. Otóż Tadeusz Pisarski obiecał, że: 1) do końca października poważnie ograniczy biurokrację w przedsiębiorstwie do najkonieczniejszej dokumentacji, 2) już w dniu zebrania wywieści listę pracowników mających ochotę nabycia mebli (okazało się, że — wbrew oskarżycielskim słowom — tylko trzech dotychczas takiego zakupu nie dokonało), 3) często będzie spotykać się z załogą, ponieważ sądzi, że z ludźmi trzeba dużo rozmawiać, 4) zaprowadzi porządek w systemie przeszerzegowań przez rozszerzenie sieci pionów ekonomicznych (wbrew woli zebranych, którzy jednak nie odważyli się spytać głośno o celowość tego posunięcia), ponadto postara się znieść różnice w płacach pracowników magazynowych. Wystąpienie ubarwiał swojskimi żarcikami, dramatyzmami, nie wznosił szerokimi gestami rąk, naśladującymi semafor, oraz powoływał się na wspólny z załogą, łomżyński rodowód. Usiadł zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku zagłaskiwacza. W efekcie uspokoił tylko siebie. Zebrani gdzieś od połowy jego wystąpienia debatowali półgłosem o konkretnych: braku mydła, ręczników, o zbiórce ma-





Pomijając fakt, że mamy tu do czynienia z karalnym sądownie szykanowaniem człowieka (którego w każdej chwili wzięłaby w obronę znakomita większość załogi, gdyby miała doświadczenie i więcej odwagi cywilnej), to mamy ponadto do czynienia z szykanowaniem z pobudek prywatnych. Otóż wśród 25 „sprawiedliwych”, mających wyrokować o odejściu lub pozostaniu swego przełożonego, znajduje się aż 14 osób karanych przez „oskarżonego”. I tak: 8 „sędziów” spośród tych 14 karano za nieusprawiedliwione opuszczenie pracy, 3 — za picie alkoholu na zmianie, 2 — za udział w przywłaszczeniach mienia zakładowego, 3 — za nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych, 2 — za spóźnianie się do pracy, 2 — za samowolne opuszczanie pracy i grę w karty na terenie zakładu, 4 — za niewłaściwe wykonanie powierzonych obowiązków. Suma się nie zgadza? Bo są „przysięgli”-recydywiści. Na przykład trzeci, czwarty, dwięty, czternasty i szesnasty z listy członków komitetu robotniczego byli karani dwukrotnie, piąty — trzykrotnie, a szósty — czterokrotnie, i to między innymi za ekscesy, za niektóre powinien być odpowiadać przed kolegium karno-orzekającym. Może to jeden z wybraniych przez przewodniczącego Rady Zakładowej?

Sądę, że prawo do samowoli dał tym ludziom jeden z zaproszonych gości, który przed przybyciem (zamiast kokietować zebranych słowami: — Przepraszam, że przyszedłem, choć nie byłem proszony, ale jestem w zastępstwie...) powinien był zadać sobie trud i przesłedzić drogę „błędów i wypaczeń” kierownika Chojnowskiego, aby móc przerwać tę absurdalną dyskusję nad przydatnością szefa zakładu nr 2 po przedstawieniu „za” i „przeciw”. Ale on mizdrzył się do załogi słowami: — Jesteśmy Polską Zjednoczoną Partią Robotniczą, to dlaczego mielibyśmy ustawiać się przeciwko robotnikom?

Powiedział jeszcze: — My znamy rozsądek młodej załogi fabryki mebli!

Zła to sprawiedliwość, którą się osiąga ludzką krzywdą. Niedobra jest też ugoda, która łączy jednych, a waśni drugich. Nie trzeba nam ani łatwych obietnic, ani efektywnego zaglaskiwania słowem. Brakuje natomiast cywilnej odwagi, która prowadziłaby do rzeczowego rozstrzygnięcia narosłych problemów, do równowagi społecznej, do spokojnej pracy i komfortu psychicznego bezpieczeństwa.

STEFANIA HENCZEŁOWA
Fot. GABOR LÖRINCZY

Nadaremnie KW MO od roku 1976 postuluje o stworzenie izby wytrzeźwień w Łomży; nie rozumiemy oporu władz miejskich, bo przecież codzienne obserwacje ulic zmuszą każdego do refleksji: czy to miasto takie małe, że nikt się tu nie ukryje, czy pijacków tak w nim dużo? Brakuje pomieszczeń? A te wszystkie zwolnione szkoły wiejskie, wymagające tylko remontu? Gdyby Bolek i Lolek zapłacili rachunek za daleki transport oraz dodatek za świeże powietrze na łonie natury — z pewnością ograniczyliby częstotliwość zaglądania do butelki.

Jeden z kierowców ZKM-u jeżdżących na linii 5, zapytany, dlaczego wysadza ludzi przy szosie na Jedwabne, miast przy pętli końcowej w Poniaciu, odpowiedział: — A czego pan się czepia. Inni koledzy do pętli nie dojeżdżają, to i ja tego robił nie będę!

W dniu 22 września o godz. 16.30 przy stoisku papierniczo-zabawkarskim Wiejskiego Domu Towarowego wywieszono informację: „Sprzątanie po remoncie”, mimo że nikt z klientów nie dostrzegł tam ani śladu bałaganu. Ekspedientka popijała herbatę z kolegą z działu elektrycznego, co się nazywało, że pomaga mu „robić kasę”. Natrętów odsyłali do szmaty i sprzątania — aż do zamknięcia stoiska, tj. 17.55. (W ogóle w Łomży niczego nie kupisz z branży przemysłowej po godz. 17.50, choćbyś zderł ostatnie buty. Będziesz najwyżej miał w perspektywie pójście do pracy bosą).

Urząd Miasta i Gminy w Zawadach działa w konspiracji, tzn. nie ujawnia swego istnienia za pośrednictwem szyldu, tablicy informacyjnej, kierunkowskazu czy czegoś innego. Słusznie: im więcej dyskrecji — tym mniej interesantów.

Magazyn meblowy w Łomży przy ul. Wojska Polskiego przeczy wszelkim kryteriom gospodarności. Sprzęty domowe poustawiano tam piętro, bez jakiegokolwiek zważania na ich przyszłą użyteczność. WPHW zaszczepia w swoich klientach nowe hobby: stół z powylamywanymi nogami.

Dworzec PKS-u w Kolnie przeżywa najazd szczurów. Biega to po wszystkich pomieszczeniach, a w nich — po szafkach i biurkach. Skargę pracowników kierownik dworca skwitował optymistycznym stwierdzeniem: — Nie jest źle, jeśli szczury nie biegają wam po głowach! — Widać, że człowiek to światowy; z niejednej miski ze szczurami jada.

Mieszkańcy Ciechanowca uparli się na używanie perfum o wymownej nazwie „Brutal”, a że w miejscowych sklepach ich nie uświadczysz, przeto proponujemy w zamian którąś z ciemnych ulic osiedla Jan-tar w Łomży. Brutali tam niemało, zapachów od rzadko opróżnianych śmietników — również.

kulatury, mieszkaniach, przychodni, a głównie — o podwyżkach. Dopiero powstanie zza stolika inż. Chojnowskiego uciszyło szepczących. Był zdenerwowany; mówił nieskładnie, ale spokojnie i rzeczowo. Widać, że nie posiadał talentu krasomówczego, ale o prawdziwości jego słów świadczyło skupienie i zainteresowanie słuchających.

W efekcie ustalono, że wszystkie należące od kierownika Chojnowskiego zakładowe niedomagania zostaną naprawione do końca bieżącego roku; niektóre — już w październiku. A zdanie wygłoszone przez prezydenta Łomży, Jerzego Nowel-skiego: — Kierownika nie trzeba kochać; trzeba go szanować za doświadczenie, fachowość i znajomość spraw załogi — zostało przyjęte z pełną aprobatą.

JAK POKOCHAĆ KIEROWNIKA?

— Nie zabiegałem o niczyją miłość — powiedział inż. Henryk Chojnowski — a moje przyzwyczajenie do porządku i sprawiedliwości sprawiło, że stałem się w niektórych kręgach załogi niepopularny. Nie wymagałem niczego poza uczciwą pracą. Ale już wiem, gdzie błędziłem, i więcej tych praktyk nie powtórzę: wyręczałem swoich zastępców. Pomyliłem się, biorąc na te funkcje młodych ludzi, którzy z całą załogą się zbratani, a potem, nie wierząc w ich kompetencje, za nich wypełniałem obowiązki: sam podpisywałem wnioski o ukaranie czy zwolnienie, i byłem w tym względnie konsekwentny. Ale nikt mi nie powie, że zwalniałem czy karałem bez powodu. A ostatnio, po powrocie z urlopu (na początku września), coś mi podszepnęło, aby osobiście sprawdzić, czy do pracy spóźniają się ci dojeżdżający (przecież mnożyły się narzekania na autobusy), czy może przeciwnie. No i okazało się, że nie zdążają mieszkający najbliżej! Kto pokocha kierownika, który przylapuje na spóźnieniu? Nie mówiąc o innych wykroczeniach, lubiących dyskrecję.

Mebli sprzedawałem mniej osobom postronnym niż moi zastępcy; unikałem tego, wykrecając się zakazem dyrektora. Trzymałem i trzymam ten zakaz na biurku pod szklą, czyli w wystarczająco widocznym miejscu. Usług też unikałem. Kategoryczny zakaz dyrektora wstrzymał nasze roboty w liceum, do którego chodził mój syn. Nie, to nie jedyna szkoła, której pomagałem. Można sprawdzić. Żadnych profitów za usługi nie czerpałem, choć raz myślałem... Któregoś późnego wieczora wyjechałem bez światła na ulicę i „zarobiłem” 300 złotych; myślę sobie: skorzystam raz z wymiany usług i poproszę zastępcę komendanta o anulowanie kary. Powiedział mi, że mogę spać spokojnie. Po pół roku otrzymałem nakaz płatniczy już z kolegium. Zapłaciłem,

i od tej pory nie ogądam się na wdzięczność za moją pomoc. Co do pomocy... Kapuściak już nie pamięta, że dla pozostawienia mu większej swobody działania, jako sekretarzowi, powołałem dla niego wydział. Błądziłem, przemykając oczy na niedobory tkaniny i ulegając perswazji. Nie zwolniłem go nawet wtedy, kiedy komisja udowodniła mu kompletną nieznajomość specyfiki prowadzonego wydziału. Atakuje mnie za to, że zatrudniłem żonę; nie bierze pod uwagę faktu, że nikt nie chciał pełnić obowiązków inspektora bhp po odejściu poprzedniego, który postawił mi warunek: albo dam mu wymagane pięć tysięcy, albo pójdzie tam, gdzie tyle dadzą. W oczekiwaniu na kandydata żona pełniła obowiązki technologa i bhp-owca. Wtedy nikt o nic nie pytał. Kapuściak przestał być nietykalny, dlatego próbuje odwrócić od siebie uwagę. Jemu się wydaje, że funkcja nobilituje człowieka, a jest odwrotnie. Powtarzał wkoło: „Jestem przedstawicielem partii rządzącej i ja muszę mieć w każdej sprawie ostatnie słowo”. Śmialiśmy się, że jeszcze trochę, a kupi sobie dwururkę i, śladem innych dostojników, ruszy na polowanie. Ale po co ja to pani mówię; pewnie pani ma już swoje zdanie, bo Kapuściak rozpuścił po zebraniu wiadomość, że redaktorka przysłała na naradę załogi „od niego”, on ją ściągnął.

Rzeczywiście, to Kapuściak powiadomił mnie o zebraniu, ale — myśląc schematami — nie przypuszczałem, że zajmie się również ludźmi, którzy mówią cicho, a także nim samym, ale jako pracownikiem i członkiem zespołu ludzkiego, choć przez cały czas występował z pozycji skrzywdzonej i nie docenionej jednostki.

— Wykrzykiwał na zebraniu — wspominał inż. Chojnowski — że to przeze mnie nie mógł pełnić funkcji sekretarza, lecz nie wiem, komu to oświadczył, bo nie mnie. Ja natomiast nie wyciągałem doniesienia, jakie w sierpniu br. złożył u mnie pracownik jego wydziału. Proszę, jest bardzo interesujące.

Fakt: „Ob. Henryk Kapuściak Kier. W. 5 naruszył przepisy obowiązujące w każdym zakładzie państwowym. A mianowicie, przez szereg miesięcy wpisywał nazwiska osób do kart zbiorczych transportu wewnętrznego W. 5 nie mających nic wspólnego z transportem. Wpisywał godziny, których nie pracowali. Jako przykład podaje dwa miesiące, za lipiec 40 godz., za sierpień 76 godz., razem 116 godz. [...] Co do dyscypliny, którą kierownik Kapuściak prowadził bardzo różnicowaną — porozmawiamy na spotkaniu”. Podpisano czelnie.

— Tak oczekiwana przez Kapuściaka decyzja o zdjęciu mnie na zebraniu nie zapadła. Ale prawo do wyrokowania o mojej przyszłości przywłaszczyła sobie 25-osobowa grupa, nazywająca się komitetem robotniczym, o czym mówi pierwszy punkt „Załącznika”.



Wróciwszy do Warszawy Adam nie bez trudu dostał bezpośredni kontakt z KW. Na spotkanie przybył osobiście Wróblewski. W ustronnym mieszkaniu łączniczki siedzieli na sofie i popijali herbatę. Jan martwił się sytuacją w partii i wyrzekał na walki frakcyjne. Poparcie Piłsudskiego, tak zwany „błąd majowy”, siedział mu jak kość w gardle i w gruncie rzeczy nie miał żadnej koncepcji postępowania. Poprząc Witosa — oznaczało zerwać więź z klasą robotniczą; rzucenie hasła własnej rewolucji było zwykłym awanturnictwem. W pewnej chwili Wróblewski spytał, do jakiej frakcji należy Adam.

— Do żadnej — odciął się opryskliwie Targowiak.
— Jesteś przecież komunistą?
— Nie. Właściwie nie. Jestem członkiem partii.
— Wybacz, ale w moim pojęciu są to sprawy jednoznaczne.
— Są jednoznaczne i nie są. Władka Górskiego musiał ktoś zastąpić. Postawiliście warunek. Przyjąłem. Sądzę, że wobec partii obowiązuję lojalność. Nie muszę jednak wybierać między frakcjami.
— Nie musisz, może nie chcesz? Uważaj, Adam, możesz łatwo podpaść.

— W twoim pojęciu już podpadłem. Tymczasem jakiś prowok bezczelnie nas syje.

— Tak, to prawda. Zdjęto całe otoczenie Bonieckiego, potem Janka Nidzińskiego; teraz Ignacego Kropka. Wszystko zaczęło się po wyjeździe Władki.

— Wykluczam z podejrzeń Górskiego. Znam go zbyt dobrze. Zresztą on mnie skontaktował z wami. Na razie chodzę. Wy również.
— Może dla niepoznaki.
— Dla niepoznaki prowocy w rodzaju Nowaczka puszczają wersje o Władku.

— Licz się ze słowami. Nowaczek jest aktywistą KD.
— Dlatego do was przyszedłem. Mam pewne dane, że to on.
— Potrzebne są dowody. Inaczej podejrzenia skierują się przeciw tobie.

— Wiem o tym. Wiadomości są poufne, musimy sprawdzić. Chciałem was jednak uprzedzić.

Wróblewski nie wydawał się przekonany i w zamyśleniu pocierał twarz.

— Potrafisz dostarczyć konkretne dane?

— Spróbuję. Nie chcę przedwcześnie „spalić” informatora. Wszystko może okazać się kolejną prowokacją.

— Tego się obawiam. W każdym razie po ostatnich wspanach należy zmylić ślady, więc chcę cię przeniść na inną robotę.

— Inną, to znaczy jaką?

— Odsuniesz się od „Życia” i przejdiesz do PPS-Lewicy. Powstaje jej Komitet Warszawski. Na czele stanął były działacz PPS, Michał Augustyniak. W Zarządzie Głównym działa Andrzej Krupa. Zaproponujemy cię, przez swoich ludzi, na sekretarza KW. Nie jesteś skompromitowany, wręcz przeciwnie.

— Rozszyfruj mnie łatwo. Zresztą nie zamierzam przerwać studiów.

— I nie należy. Będziesz miał więcej czasu. Twoje aspiracje rewolucyjne wyżyją się łatwiej w masowej organizacji. Nie musisz udawać komunisty.

— Pozwolicie, że ze sprawy Nowaczka nie zejść?

— Nic o tym nie wiem. Pamiętaj, nie było między nami tej rozmowy.

Pożegnali się. Jan mu nie uwierzył. Z jakiej racji miałby mu zaufać? Czy Halina potrafi dostarczyć kopię relacji Nowaczka? Wątpliwe. Dać się wciągnąć w zabiegi Haliny? Ale po co? Trafił go problem własnego miejsca w przyszłej pracy.

Jesienne słońce padało ukośnie. Adam szedł brzegiem chodnika i miał wrażenie, że jego cień opiera głowę o ściany domów. Właściwie po co się w tę całą aferę wtrąca? Pasionowała go raczej gra niż praw-



Pałac biskupa. Reprodukacja Ryszarda Piechocińskiego.

da. Prowokacja była wszędzie, dlaczego akurat Nowaczek? Aby przeciąć plotki o Górskim? Na pewno tak. Był jego przyjacielem. Machinacje Defy były zbyt oczywiste. Dotyczyły go?

Zośce powiedział tylko o PPS-Lewicy. Nie próbował nawet tłumaczyć.

— Uciec przed wyspą? O to chodzi? — spytała nieco zdziwiona.

— Może brak zaufania do mnie. Wydłużyć cień i przejść na drugą stronę.

Nie zrozumiała go. Niepokoiła się, co powiedzą ich przyjaciele. Tchórzostwo? Ucieczka przed konsekwencjami aresztowania Nidzińskiego i Kropka? Dezercja z miejsca obstrzału? Odsunięcie?

coś wierzyć. Może nie w coś, lecz w kogoś.

— W kogoś?

— Chodzi mi o Janka. Prostolini i chropowany. Zaufał mi.

— Nie wiem. Pewne sprawy są poza mną, inne nie.

— Nidziński nie przekazywał żadnych podejrzeń?

— Informacje Janka prowadzą do KD.

— Dotyczą?

— Męczysz mnie. Trudno w to uwierzyć.

— Nowaczek?

— Tak.

— Sądzisz, że to prawda?

— Nic nie sądzę. Wszystko jest takie okropne, Adam. I jeszcze ty odchodzisz do innej pracy.

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ

Reakcja Jolki była podobna: — Nie zmylisz pogodni, a wpakujesz w podejrzenia całą organizację.

— Decyzja nie należy do mnie.

— Mogłeś odmówić.

— Rozkazy się wykonuje, nie odmawia.

— Nie poznaję cię. Jak wygląda sprawa Janka?

— Wcale nie wygląda. Wyspa jest oczywista.

— Więc kto?

— Różnie mówią.

— Lecz konkretnie?

— Musimy poczekać.

— Wytrzymasz? — Zdziwiła się Jola.

— Muszę.

— Zapewne masz rację. Należy w

— Nigdzie nie odchodzę. Zmieniam pozycję. Szukam cienia.

— Znowu ten cień? Nie ma go nigdzie.

— Nic z tego jednak nie wynika. O niczym nie mów Zośce.

— Nikomu ani słowa. Pamiętaj.

Gdy dwóch rozmawia, o jednego jest zawsze za dużo. Janek może się mylić.

— Ty również.

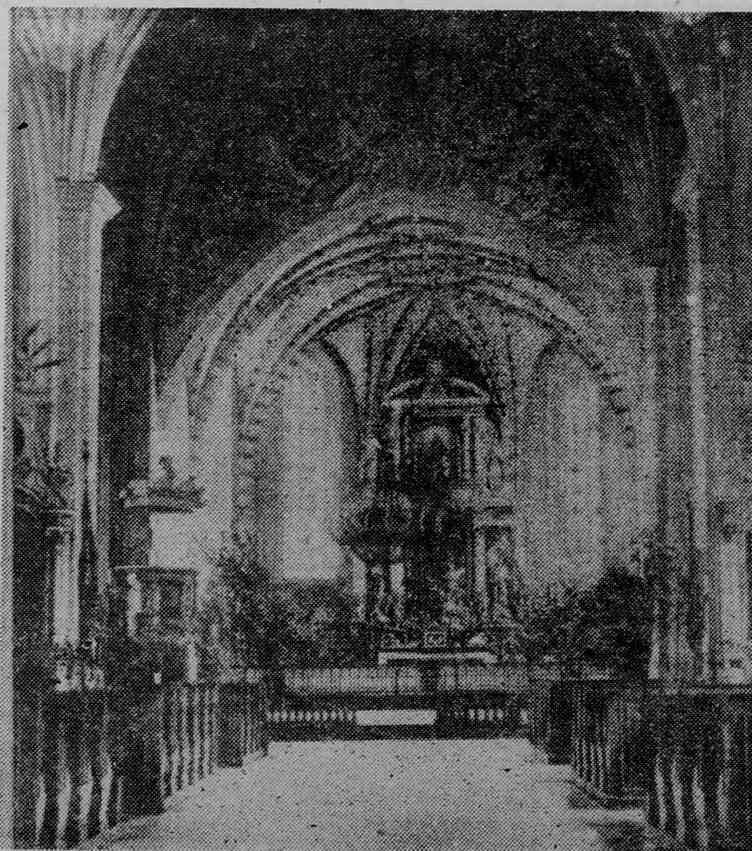
— Trzymaj się, Jolka. Wychodzę.

Starszy pan czytał „Czerwoniaka” na ławeczce skwerku. Gdy Adam go minął, wstał i poszedł w przeciwną stronę.

— Idiota jestem — mruknął Adam i wszedł do apteki zadzwonić.

Haliny nie było w domu.

Nawa główna Kościoła Farnego. Reprodukacja Ryszarda Piechocińskiego.



Zdjęcia ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łomży i Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Praca w PPS-Lewicy nie zmieniała życia Targowiaka. Michał Augustyniak był doskonałym mówcą, ale wszystkimi sprawami organizacyjnymi obarczył Adama. Zresztą nie ukrywał, że nie lubił kontaktów z KPP. Z CKW PPS zerwał raczej ze względów osobistych. Miał otrzymać mandat w sejmie i wykładowo go. Zbyt „lewý”, jak na gust Niedziałkowskiego. Chcieli, więc mają. Komuny jednak nie lubił i nie miał do niej zaufania. Był autentycznym działaczem klasowych związków zawodowych. Umiął bronić racji chwili, nie widział całości. Targowiak przypadł mu do gustu. Nie miał sekciarskich zagrywek, posiadał coś z obywatelskiego myślenia, jego sarkazm dodawał mu powagi. Nie był Żydem.

Augustyniak nie był antysemitą. Ludzie, jak ludzie, wszyscy są jednakowi, lecz ci z ruchu robotniczego go razili. Chcieli wybawić świat, a on bronił tylko interesów klasy robotniczej, i to mu wystarczało. Targowiak wprawdzie robotnikiem nie był, lecz jeden „pisarczyk” zawsze się przyda. W ostateczności ktoś musi utrzymywać kontakty z KPP.

Do egzekutywy KW PPS-Lewicy wybrano — obok Augustyniaka i Targowiaka — Wacka Piotrowskiego, delegata rady zakładowej Norblina, Marię Dąbrowską i Czesławę Wasikówną z przedalini „Wola” oraz Stefana — Jemiołę z „Lilpopa”. Na czele organizacji młodzieżowej stanęła Bela Koganówna, energiczna działaczka z fabryki zapalek w Błoni. Zbierali się często, spraw było coraz więcej. Wszystko wskazywało na zbliżający się strajk w przedalini „Wola”.

Mimo zajęć organizacyjnych Targowiak nie zaniedbywał kontaktów z Haliną. Nie były one łatwe. Halina kaprysiła i wykrecała się z jakichkolwiek powizań z aplikantem. Na ten temat nie chciała rozmawiać nawet w chwilach najbardziej intymnych.

Pewnego dnia powiedziała wprost: — Zapomnij o naszej rozmowie nad morzem. Nic nie wiem o Nowaczku. Może nakłamałam w chwili depresji? Nie znasz kobiet? Lubię sytuację, w których wszystko zaczyna się od początku.

— Co „od początku”?

— Nasza miłość, moje i twoje wyznania.

— Jakże znowu wyznania?

— Prawda, byłeś w słowach bardzo oszczędny.

— Nie wygląpij się. Muszę młot kopię donosów Nowaczka.

— Co ja z tego będę miała?

— Moją miłość.

— Wypchaj się. O Nowaczku nigdy nie słyszałam. Randka z aplikantem? Nie mam ochoty.

— Jemu wystarczy nadzieja.

— Nadzieja to matka głupich, on do głupich nie należy.

— Nie rozumiesz? W grę wchodzi twój brat. Jeżeli Nowaczek nawet nie ujawni się na sprawie, syple na pewno.

— Są inni.

— Skąd wiesz?

— Są.

— Kłamiesz?

— Nigdy cię nie oszukałam.

— A wtedy?

— Również. Jesteś mi potrzebny.

Nie pytaj. Jesteś mi potrzebny i tyle. Ale nie jestem kurwą. Przystań mnie nudzić tym aplikantem.

Wstał stanowczo: — Zadzwonisz, gdy będziesz wiedziała coś konkretnego. Zmień perfumy. Cały ten pokój kręci mi się w głowie. Brakuje tylko klatki z papugami.

— To wszystko jestem ja: ta komoda, lustro prababki, perfumy, nawet papugi budzą się we mnie i krzyczą.

— Zadzwonisz?

— Tak.

Minął tydzień, dwa, lecz zanim spadł pierwszy, grudniowy śnieg, Halina zatelefonowała: — Zjadł do mnie, mam ważną wiadomość.

Zjawił się natychmiast. Otworzyła mu drzwi w narzuconym szlafroku. Perfum nie zmieniła. Pałła papierosy.

— Czy coś się stało?



W 36 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego publikujemy relację uczestnika krwawych walk z okupantem niemieckim pod Nowogrodem i Łomżą we wrześniu 1939 roku, która jest hołdem dla bohaterstwa i patriotyzmu żołnierza polskiego.

Drużyna wojna światowa dla 33 Pułku Piechoty Strzelców Kurpiowskich, który stacjonował w czasie pokoju w Łomży, a organizacyjnie należał do 18 Dywizji Piechoty, zaczęła się 23 marca 1939 r., kiedy nadszedł rozkaz nakazujący postawienie w stan gotowości bojowej jednego batalionu pułku — celem zabezpieczenia przed dywersją niemiecką z Prus Wschodnich przepraw na Narwi, w Nowogrodzie i Łomży. Obie przeprawy obsadzone były przez kompanie tego batalionu, którym dowodził mjr Stanisław Wyderka. Mobilizacja wspomnianego batalionu i zabezpieczenia przeprawy były zarządzane wstępnie, które w okresie od 23 marca do mobilizacji alarmowej w nocy z 23 na 24 sierpnia zostało stopniowo zastąpione przez zadanie na wypadek wojny.

Zadanie to polegało przede wszystkim na ubezpieczeniu rejonu Śniadowa, gdzie zbierały się jednostki Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew” generała Młot-Fijałkowskiego. Pułk miał zorganizować obronę od miejscowości Rutki do Wojciechowa na przestrzeni 60 kilometrów. W działaniach tych miał być wsparty całością sił 18 dywizji, a na jego przedpolu, od granicy z Prusami aż po Narew, miała znajdować się Podlaska Brygada Kawalerii, z zadaniem przeprowadzenia głębokiego rozpoznania na Prusach Wschodnich i przyjęcia pierwszych działań niemieckich.

Mój pułk został wzmocniony kompanią forticzną pod dowództwem kpt. Kordiaczyńskiego, a teren obrony uzbrojony betonowymi schronami bojowymi typu ciężkiego i lekkiego. Przewidywane było jeszcze dojsie do pułku batalionu ciężkich karabinów maszynowych. By sprostać zadaniu na tak dużym odcinku Narwi, przeprowadziłem dokładne rozeznanie obu brzegów Narwi i jej doliny oraz wyodrębniłem do obrony bezpośredniej rejon: Nowogród, Pniewo, Jednaczewo, z tym że Jednaczewo można było bronić przez osłonę doliny Narwi, a punktem obrony stałej miało być wzniesienie Matwica — Kupiski Nowe. Główny jednak wysiłek obrony, stosownie do rozkazu Marszałka Smigłego, wydanego mi osobiście w sierpniu 1939 r., w czasie wizytacji prac obronnych pułku, skoncentrowałem na przeprawach w Nowogrodzie i Łomży.

NA ROPACZ NIE PORA

1 IX wszystkie jednostki znalazły się na miejscu: 33 pp na linii Narew, a na przedpolu pułku — Brygada Kawalerii wraz z kawalerią dywizyjną. Ilość wykonanych schronów bojowych była poważnie mniejsza od zaplanowanych, co zmusiło pułk, już w pierwszych dniach wojny, do zastąpienia tych luk umocnieniami polowymi.

5 i 6 IX nastąpiła tragiczna klęska 33 i 41 dywizji rezerwowych pod Różanem. Załamanie się pułku to otwarcie nieprzyjacielowi najkrótszej drogi na tyły Modlina i Warszawy. Trzeba było porzucić przygotowany plan działania i zastąpić go improvisacją. Przede wszystkim pułk musiał zdać sobie sprawę z tego, że walczyć będzie samodzielnie, bez pomocy, i że jego główną bronią, którą przeciwstawi ciagle rosnącym siłom niemieckim, będą zdecydowanie i heroizm.

Na opuszczone przez brygadę kawalerii przedpole, by uniknąć zaścokzenia, wprowadziłem oddziały zwiadowcze pułku — formacje nieprzygotowane do walk z jednostkami zmotywowanymi. Z 6 na 7 IX przyjeżdżali z nimi walkę, lecz ponieśli poważne straty i wycofali się na południe poprzez ugrupowanie pułku. Niemieckie działania zaczęły się, mające na celu opanowanie przepraw w Nowogrodzie i Łomży, rozpoczęły się 6 i 7 IX. Oba natarcia prowadzone były wprost z marszu. Niemcy liczyli na to, że przepraw bronią słabe siły polskie. Niewątpliwie byliśmy słabsi, ale bardziej uparci.

Walki o przeprawy trwały nie-

mal bez przerwy od 6 do 11 IX. Siły niemieckie narastały z dnia na dzień. Nasze mały. Ale wiedzieliśmy, że należało bronić przepraw za wszelką cenę i nie przepuścić Niemców na południe. Pułk był właściwie pozbawiony wszystkiego: pomocy, amunicji, żywności. Każdy z nas, od dowódcy pułku do strzelca, zdawał sobie sprawę, że pułk się kruszy, z każdą godziną było nas coraz mniej, a kościec obrony — fortyfikacje betonowe, na których zbudowano naszą zapórę ogniową — malał, gruchotany potężnym ogniem ciężkiej i przeciwpancernej artylerii niemieckiej. Ludzi nie załamwał masowy nalot bombowców. Nie ustąpili pod naporem ciągłych natarć, prowadzonych przez Niemców od świtu do nocy. Byli nie do pokonania. Ogień ze starych łomżyńskich fortów, przygotowany z wzorową dokładnością, dosłownie masakrował nacierających falami Niemców. Nawet czołgi, które jako straż przednia uderzyły 7 IX w południe na Łomżę, zostały na przedpolu drugiego frontu. Zniszczyły ich nasze działka przeciwpancerne, które dopuściły czołgi na odległość około 100 metrów. Ich pastwą stał się najpierw ostatni czołg w kolumnie, który zatrasował szosę i zamknął odwrót pozostałym.

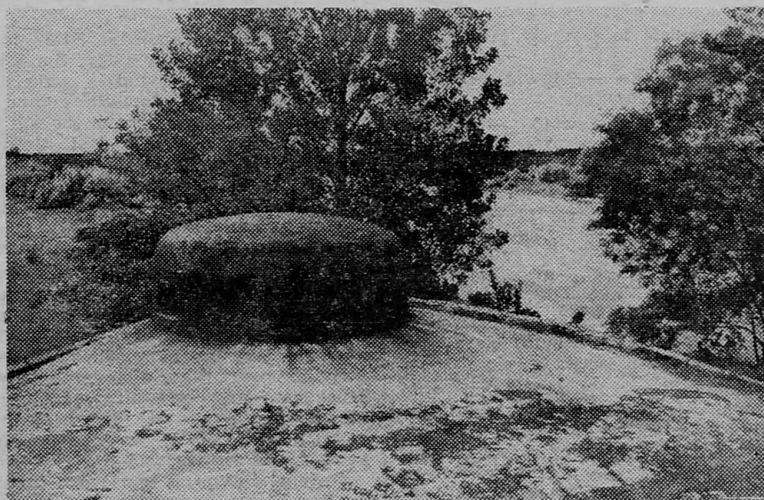
W tym samym czasie prowadzone były ciężkie walki w obronie przepraw pod Nowogrodem. Nasile-

spustoszenie wśród Niemców. Nie jest jednak w stanie wywalczyć przewagi nad nieprzyjacielem. Mogliśmy tylko powstrzymać dalszy postęp niemieckiego natarcia. Nasze wojska — zawzięte i spokojne. Ranni nie chcą jechać na punkt opatrunkowy. Opatrują się sami i okopują coraz dokładniej. Obsada rzędnie. Jest nas coraz mniej, ale trzymamy się. 10 września Niemcy zadymiają teren i pod osłoną, wzmacniając swe siły na południowym brzegu Narwi, rozszerzają natarcie aż po Szablak. Przeprowadzają również działka przeciwpancerne by ogniem wprost z bliskiej odległości zniszczyć nasze ostatnie cztery bunkry. Okrążone ze wszystkich stron nie poddają się. Walczą do ostatniego naboju. Kapitan Kordiaczyński i por. Jarzyna wraz z obsadą bunkra giną w walce wręcz. Niemcy zajmują palące się ruiny Nowogrodu, ale linii obronnej pułku nie przełamują.

W OKRĄŻENIU

Położenie pułku po walkach 10 IX było krytyczne. Około godziny 20-tej otrzymuję rozkaz wycofania się na południe, do lasów czerwonoobróskich. Niezwłocznie rozkazuję odskok do nakazanego rejonu odległego o 20—25 km. Dla żołnierzy, walczących bez przerwy pięć dni,

słowa moje nie zginą



Fot. Gabor Lőrinczy

nie ich potęgowało się, by 10 IX dojsie do kulminacyjnego punktu. Pierwszego dnia Niemcy starali się zaskoczyć obronę. Kiedy im się to nie udało od godziny 19.00 6 IX aż do brasku, rzucali gęstymi falami swą piechotę w nurt rzeki, by w bród i na łodziach osiągnąć południowy brzeg Narwi. Walki te opisał dowódca sąsiedniego odcinka, por. Zenon Nowakowski: „Ciężkie karabiny maszynowe ze schronów betonowych — dowódcą ich był kapitan Kordiaczyński — grały w tym czasie bez przerwy. Zwłoki zabitych płynęły na zachód, zatrzymując się często na potyczkach z drutu kolczastego w Narwi”. Tu i ówdzie Niemcy osiągnęli południowy brzeg Narwi. W rejonie starego mostu w Nowogrodzie i pod Szablakiem masakrowali 8 kompanie. Zginął jej dowódca, por. Edward Tarczałowicz, który brawurą postawą chciał powstrzymać rodzącą się panikę. Były to chwilowe sukcesy wroga, gdyż przeciwnatarcie 9 kompanii pułku pod dowództwem por. Władysława Pajki, zepchnęło Niemców do Narwi.

NIE USTĘPOWAĆ

Wieczorem 8 IX otrzymuję osobisty rozkaz dowódcy dywizji, by pułk w najbliższym czasie nie liczył na pomoc i bronił nadal, z dotychczasowym uporem, swych pozycji. Następnego dnia do rozpaczy we wysiłki, by sprostać otrzymanemu zadaniu. Wprawdzie 9 IX zapowiedziano wzmocnienie jednym batalionem 42 pp, ale pomoc ta nie przyszła i pułk prowadził nadal walkę w całkowitym odosobnieniu.

9 IX Niemcy osiągnęli ponownie południowy brzeg Narwi vis à vis mostu. Ogień naszej piechoty, wprawdzie już tylko z czterech bunkrów, jest jeszcze silny i czyni-

jest to wysiłek morderczy. Dlatego też nie spodziewałem się swego pułku w Baczach Mokrych, wcześniej niż w godzinach popołudniowych 11 IX. Kiedy rano przybyłem na miejsce, spotkałem tam dowódcę piechoty dywizyjnej pułkownika Hertla. Poinformował mnie, że 18 dywizja jest okrążona przez Niemców i jej dowódca postanowił świętem tego dnia przebić się przez Zambrów. O tej porze na wspóludział 33 pp nie można było liczyć. Na odprawie pułkownika Hertla zapada decyzja doraźnego formowania oddziałów z blakających się żołnierzy. Natarcie rozpoczyna się około godz. 10.00 w rejonie miejscowości Sledzie. Bez artylerii, ze skromnym wyposażeniem w ciężkie karabiny maszynowe i niedostateczną ilość amunicji. Wszyscy idą jednak z niesamowitą brawurą. Likwidują po drodze niemieckie ośrodki ogniowe i osiągają około południa północny skraj Zambrowa. Ginie w tej walce por. Zygmunt Olkowski, dowódca artylerii przeciwpancernej 33 pp oraz oficer tego pułku ppor. Józef Gosiewski, dowódca bunkru na Narwi w Budach Pilewskich. Por. Henryk Szczepankowski — dowódca pionierów pułkowych, ranny, opierając się na karabinie, prowadzi ciągle swych ludzi naprzód. W tym samym czasie 71 pp osiąga zachodni skraj Zambrowa. Zdawało się już, że miasto będzie nasze. Niestety. Właśnie w tym momencie wchodzi do walki, wezwane radiem, posiłki niemieckie, które zmuszają nas do odwrotu. Z oddziału kpt. Paleckiego pozostaje około 47 ludzi, a z oddziału dowódcy 33 pp około 100.

Po powstrzymaniu przeciwnatarcia niemieckiego, przekazałem oddział por. Szczepankowskiemu, a sam udałem się do Bacz Mokrych, gdzie znalazłem swój pułk. Ludzie byli wycieńczeni walką i marszami.

Spali niemal stojąc. Postanowiłem popołudnie poświęcić na nakarmienie ludzi i wypoczynek. Jednocześnie przystąpiłem do reorganizacji pułku uzupełniając go blakającymi się żołnierzami różnych formacji. Do wieczora tego dnia do pułku nie doszły żadne rozkazy z dywizji. Przypuszczając, że musi się ona znajdować w rejonie Łętownicy, postanowiłem dalej ubezpieczać ją od północy. W tym celu skierowałem batalion majora Sikory do rejonu Długoborza, a 6 kompanii do rejonu Srebrny Borek. Kiedy nocą z 11 na 12 IX przechodziłem przez Tąbądz, zgłosił się do mnie oficer sztabu dywizji (ze składnicy meldunkowej), przekazującymi decyzjami, co uspokoiło mnie, gdyż uzyskałem w ten sposób pewność, że działam zgodnie z potrzebami dywizji.

OSTATNIE NATARCIE

Oba zgrupowania zawiązują walkę z posuwającymi się na południe Niemcami. Pierwszy napór niemiecki przyjmuje na siebie mjr Sikora. Jego batalion walczy wytrwale i początkowo wstrzymuje ruch nieprzyjaciela. Dopiero kiedy Niemcy wprowadzają do walki czołgi, cofa się na Czarosy. Rozpoczyna się zażarcia i rozpaczliwa walka o każdy metr terenu. Wioski, lasy, zagajniki przechodzą z rąk do rąk. Około godziny 17.00 Niemcy uderzają ze Srebrnego Borku na Łętownicę, by zadać ostateczny cios w plecy walczącej dywizji. Napotyka ją jednak 33 pp uzupełniony doraźnie wcielonymi przeze mnie pododdziałami i grupkami innych formacji. Zdawałoby się, że w ten sposób „sklecony” pułk nie będzie zdolny stawić zdecydowanego i zgranego oporu. A jednak staje się inaczej. Żołnierz, który przeszedł krwawy chrzest bojowy nie tylko nie ustępuje z zajmowanych stanowisk, ale powstrzymuje niemieckie natarcie i przechodzi do przeciwnatarcia odrzucając Niemców z powrotem do Srebrnego Borku. Korzystając z tego plk Hertel, jako następcą pika Koseckiego improvisuje ostatnie koncentryczne natarcie na Andrzejewo. Nie jest ono w stanie przezwyciężyć okrążenia i resztki dywizji zostają zepchnięte do północnej Łętownicy. W walce tej, która ustaje po godzinie 22.00 giną plk Hertel i mjr Sikora.

Po porażce pod Andrzejewem, resztki 33 pp mniejszymi grupkami walczą jeszcze pod Andrzejewem i Zarebami Kościelnymi, by wyrwać się z okrążenia. Sam, z niewielkim oddziałem mojego pułku, maszeruję nocą na miejscowości: Paproć, Króle, przechodzę w bród Mały Brok pod Kuleszami i wydostaję się na zewnątrz niemieckiego pierścienia. Szef sztabu pisał o dywizji: „18 Dywizja Piechoty należy do tych [...] które nie kapitulowały. Dokąd miała możliwość walczyć — walczyła, mimo rozpaczliwego położenia. [...] Spośród pułków najważniejszą rolę odegrał i wykazał bardzo twardą postawę walczący samodzielnie pułk 33, który dźwigał na sobie cały ciężar głównego uderzenia niemieckiego na kierunkach: Nowogród i Łomża. Szczytem bohaterstwa były walki kompanii forticznej. [...] Poza plk. Koseckim i Hertlem, największym bohaterstwem wykazali się: kpt. Kordiaczyński, kpt. Raginis i por. Jarzyna oraz ich załogi, które poległy w bunkrach na swoich stanowiskach”.

Pisząc o naszych walkach, zwycięstwach i klęskach, nie mogę nie podkreślić wykazanej przez wszystkich żołnierzy, niezależnie od ich stopnia i funkcji, ofiarności i hartu. Nie żałowali oni ani trudu, ani życia, by spełnić swój obowiązek wobec Ojczyzny oraz Sztandaru. Pułkowego, na który składali przysięgę.

Nie miałem możliwości po wojnie, Wam Koledzy, którzy oddaliście życie w ofierze Ojczyźnie i pułkowi, złożyć największy hołd, by wasze bohaterstwo i wasze nazwiska zostały umieszczone po wieczne czasy na stronicach historii pułku. Wam, coście przy życiu zostali, podziękować za wierną służbę Ojczyźnie i dotrzymanie złożonej przysięgi. Czynie to teraz, z tym przeświadczeniem, że słowa moje, które tu kreślę nie zginą i zostaną przekazane pokoleniom wraz z naszym Sztandarem.

LUCJAN STANEK
pułkownik dyplomowany
dowódca 33 Pułku
Strzelców Kurpiowskich

dokumenty

szale zysków i strat

Zdarzyło mi się niedawno w bardzo dostojnym gronie rozmawiać o stanie kultury polskiej. Naturalnie żaliliśmy się potężnie, bo bez stosownych żalów rozmowa nie ma ani sensu, ani smaku. W istocie rzeczy jest się na co żalić, i na wszelkich możliwych zebraniach już od wielu miesięcy rozlega się chór skarg. Bardzo to bowiem dziwna sytuacja: kultura jest w Polsce jedną z nielicznych dziedzin, w której nie ma deficytu, a Polska — z kolei — jedynym chyba na świecie krajem, w którym kultura musi wyrównywać deficyty np. drogich restauracji. Rzecząwiście dochód z książek, filmów, płyt, gazet i tak dalej jest bardzo znaczny, natomiast nakłady na kulturę — bardzo niskie. Chociaż np. wydawanie książek należy do czynności bardzo opłacalnych, wydawnictwa nie mogą zdobyć papieru, choć wówczas przynosiłyby dochód jeszcze większy. I ostatecznie — mimo naprawdę ciekawych sukcesów — robiło się od kilku lat coraz to gorzej i gorzej.

Co prawda nie w każdej dziedzinie żale były takie same. Pewien znakomity muzyk, wbrew panującym tendencjom, wcale się decentralizacją, na przykład, nie zachwycał. Uważał, że się namnożyło kiepskich orkiestr i teatrów, które nie tylko kultury muzycznej czy teatralnej nie szerszą, ale przeciwnie: rozpowszechniają zły smak. Bo ja wiem? Można by przytoczyć argumenty przeciw temu stanowisku, można by go także bronić. Bądź co bądź, jakkolwiek byśmy sprawy kultury ujmowali, jest pewne, że ona w Polsce nie zbankrutowała. Ze pozostała ta dziedzina, w której zdobyć, mimo wszystko, górują nad stratami. Warto jednak zapytać, dlaczego tak się dzieje?

Otóż mamy społeczeństwo na wszelkie walory kulturalne bardzo chłonne. Zapewne wielka w tym zasługa Polski Ludowej, ale przecież tradycja sięga głębiej. Przez dwieście lat nieomal kultura była dla Polaka jedyną właściwie instytucją dającą mu poczucie tożsamości narodowej i jedynym majątkiem, którego nie dało się zniszczyć. Nie więc dziwne, że tego rodzaju tradycja musi walczyć i na dniu dzisiejszym, że ukształtowała ludzi kultury nie lekceważących. Zapewne nie każdy pograża się w jej głębie bez reszty, świata poza nimi nie widząc. Byłoby to nawet dziwaczne i wcale nie wiem, czy tak znów bezwzględnie dobre. Ale kultura to nie tylko kontemplacja; to także sposób działania. Nie wiem, czy w tym przedmiocie da się wyrazić jedynie zachwyt szczery, ale i z tym, jest chyba, jak się okazało, lepiej, niżbyśmy sami myśleli.

Z drugiej strony — twórcy. Nie opływają wcale w takie wspaniałości, jakby się to wielu zdawało. Przeciwnie, na przykład z literatury jest raczej trudno się utrzymać i większość literatów musi pielegnować jakieś tam etaty. Jest to potężny absurd. Dlaczego własny, bardzo trudny zawód ma być czymś w rodzaju hobby? Czy jakiś rzeźnik utrzymuje się z lekcji tańca, a świnie bije dla przyjemności? Dlaczego więc literat ma być kimś takim? Ale przecież wszystkie trudności nie odstraszyły twórców. Spełnialiśmy i spełniamy swój obowiązek, jak potrafimy, na ogół z nie najgorszymi rezultatami. I z niejaką dumą stwierdzam, że w ogólnie trudnej sytuacji ludzie mojej profesji przecież wypełnili swój obowiązek nie najgorzej, pracując wedle swojej najlepszej woli i umiejętności. Skądinąd pytanie: czy to uczucie nie jest jedynie subiektywne, czy podobnie nie wypowiedzieliby się przedstawiciele innych zawodów, tak samo nie sobie do zarzucenia nie mając. Ale też sztuka zawsze miała do moralności, do własnej godności, stosunek bardzo specjalny. Bardzo wysoki właśnie. I sądzę, że ten wzorzec ma i dzisiaj do zaofiarowania innym.

PIOTR KUNCEWICZ

Kiedys, przed laty, znalazłem się przypadkowo wśród młodych pisarzy, specjalistów od science fiction. Czytali fragmenty swoich arcydzieł, a potem rozpoczęła się dyskusja. Ośmieliłem się wówczas zadać im następujące pytanie: „Dlaczego w waszych książkach występują ciągle jacyś Brownowie, Dixony, Newmani? Czy nie uważacie, że np. Kowalski czy Malinowski też może polecieć w Kosmos w przemysłowym wehikule? Że też stać go na uczone rozmowy, popisywanie się brawurą i inteligencją? Skoro już fantazjujecie, to fantazjujcie jako Polacy o Polakach, z pewną dozą zaściankowego patriotyzmu, a nie jako zakompleksieni pisarczykowie!”

Albo inny przykład. Wojtek przyjeżdża do mnie i od razu zaczyna: — W lipcu byłem przez trzy tygodnie w RFN-ie. Pracowałem nielegalnie u jednego milionera. A pod koniec sierpnia wpadłem na kilka dni do Paryża.

Jola relacjonuje swoje wrażenia z podróży do Rzymu. A ja, bez żadnej kokieterii, jestem już na to za stary. Zapytany, mówię, acz niechętnie: — W Janczewie przesiedlałem całe lato.

ka też nie, bo typała od czasu do czasu okiem, a to oko jakiegoś rzeźnika i figlarnie.

— Nie becza, baby — rzekłem — dobra i godzina. Jeszcze na razie dycha.

— Nie wiem, czy warto zabierać chorą do szpitala — ciągnęła cyruliczka. — Będziecie państwo mieli tylko kłopoty. Bo to sekcja, trupiarnia, formalności. A tak kipnie za godzinę w chałupie, i po krzyku.

Nie usłuchaliśmy dobrej rady i oddaliśmy ciotkę do lecznicy, bo człowieka trzeba ratować do końca, choćby nawet po to, żeby mieć czyste sumienie. Tak się u nas, w Janczewie, uważa.

Wczoraj byłem z ciotką na grzybach. Latała między krzakami jak osiemnastka. Schylała się i pierwsza wyrwała moje borowiki, czym doprowadzała mnie do szału.

Tak, w mojej cichej wsi dzieją się wielkie rzeczy — na miarę tego krajobrazu, który nas otacza, i tego czasu, który odmierzają janczewskie zegary.

Mój brat Jasiek jest świętym — nie tylko naszej wsi i okolicy, ale chyba połowy Łomżyńskiego. Od lat para się monterstwem. Zakłada ludziom instalacje elektryczne, siłę,

rzem niż on. Ale nie o tym chciałem. Od lat czynią w naszym stadle ogromne spustoszenie szczury. Nie pomaga cement, szkło, utykanie dziur. Chrobocze toto, skrobie, gryzie, aż w końcu znajdzie jakiś otworek, wlezie i morduje. Przez tydzień cisza, i znowu to samo. Placzemy z rozpaczą na widok zagryzionych winerów, simli, newków. Zwłaszcza młodych.

Szczur, niby inteligentne stworzenie, a nie myśli. Nie czyni nic w tym kierunku, żeby dojść do zgody z gospodarzami i dać coś od siebie, a nie żyć wyłącznie na cudzy rachunek, nie zadawalając się byle czym.

Przed laty przyjechały do Janczewa na święta dwie piękne córki pana Sliwieckiego. I obie zatrzymały się trychunami. Leżały na cmentarzu poza miasteczkiem tylko dlatego, że zjadły wieprzowinę zakazaną przez szczury.

Trzymaliśmy olbrzymiego kota. Miał być postrachem na szczury. Ale nie był. On także podkradał nam i dusił gołębie. Co za przerażająca plaga zlodziejstwa i niesubordynacji wkrađa się na nasze podwórze.

W pobliskich bajorkach i stawach

SZCZUR SZCZUROWI nierówny

— A gdzie to jest? W jakim kraju?

— Niedaleko — mówię — 16 kilometrów za Łomżą.

— Całe lato na wsi? — dziwi się.

— Nie całe lato, ale całe życie — prostuję.

I to ich dobija. Bo ja rzeczywiście, poza kilkoma wypadami w Polskę, głównie po naukę, nosa z Janczewa nie wytykam. Wieś to mała, cichutka; 22 gospodarzy. Każdy dzielny, pracowity, nie daje się biedzie, czuje się młodo; starzy też dziarscy, jak nigdzie.

Ciotka Romotowska zachorowała śmiertelnie trzy tygodnie temu. Skończyła 80 lat, to i nie dziwiła. Byłem przy łóżku umierającej. Przyjechała pogotowie z Łomży. Subtelna pani doktor zbadała dokładnie dogorywającą i zawyrokowała: — Ma jeszcze przed sobą najwyżej godzinę życia.

Baby od razu w bek. Mnie też zrobiło się głupio. Ale jakoś nie wierzyłem w tę śmierć, nie czułem jej w pobliżu. Zauważyłem, że ciot-

robi naprawy i remonty. Nie ma spokoju w dzień i w nocy. Zepsuje się głupia żarówka, ludzie walą do niego. A on nie odmawia pomocy. Świadczy usługi za darmo. Za dobre słowo, za komplement. Jest jedynym prywatnym specjalistą na kuli ziemskiej, który nie ciągnie z tego żadnych zysków. Nie dorobił się nawet roweru.

— Zapłacę pięć tysięcy — mówi, dajmy na to, rolnik.

Janek tymczasem podlicza skrupulatnie, z ołówkiem w ręku, koszty danej inwestycji, by po chwili rzec: — Wystarczy cztery tysiące. Byleby zwróciło się za materiały, które sam musi organizować odbywając dalekie podróże do Białegostoku i dalej. Ale nie zawsze się zwraca, nie zawsze.

Jestem dumny z mojego brata Janka, który programowo gardzi marnościami tego świata. Pomaga ludziom, zamiast dorabiać się na nich. Staram się iść w jego ślady, ale nie jest to wcale takie łatwe.

Nasza wspólna pasja od lat jest hodowla gołębi; powiedziałbym nawet, że jestem większym gołębiar-

gnieźdzą się szczury wodne, zwane piżmakami. Niby też szczury, a jak nie szczury. Kaczka pływa po wodzie z małymi — nie rusza. Zaby chyba żrą czy jak? A może tylko tatarak i korzonki.

— Szczur szczurowi nierówny — mówi mój chrzestny Janczewski. — Ten wodny człowiek też ugryzie, nie powiem, ale krzywdy mu żadnej nie robi.

Niechby już były wszystkie takie, skoro są i żyć potrzebują, pal sześć. Niechby i ugryzły od czasu do czasu za rękę, skoro muszą, ale niech się, na Boga, nie wtracają do naszego gospodarstwa!

TADEUSZ MOCARSKI

Tadeusz Mocarski — rolnik z Janczewa, poeta reporter, członek ZLP, wkrótce — nakładem KAW-u — ukaże się jego debiut reporterski: „Jak zostałem milionerem”. „Z drugiej strony czasu” to cykl felietonów o rodzinnej wsi autora, które będziemy drukować w kolejnych numerach „Kontaktów”.

Rysunek Haliny Rydz.



umiaru nie znają



Fot. Gabor Lőrinczy

JAN BACEWICZ

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doreczeniowe w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następnego; do dnia 10 września poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartałna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki go-

KONTAKT

Kiedyś, zresztą jeszcze nie tak dawno, pojęcie „sport” oznaczało — ogólnie mówiąc — rozwijanie tężyzny ciała, utrzymywanie go w wysokiej sprawności fizycznej, i zdrową w tym względzie rywalizację. Dziś trudno byłoby podać definicję tego pojęcia, oczywiście — w odniesieniu do jego desygnatu oraz po uwzględnieniu wszystkich czynników i praw nim rządzących. Moim pragnieniem było wystąpienie w reprezentacji szkoły, bo reprezentowanie klubu, przy tak dużej konkurencji, było marzeniem nierealnym. Pozostawało mi kopanie piłki na podwórku, gra w klipę lub palanta. Robiłem to zresztą, tak jak i moi koledzy, z przekonaniem i bezinteresowną przyjemnością. Obecnie sówicie opłacani zawodnicy (zawodowcy) sprawiają wrażenie odwalających pańszczyznę. Odnosi się to zarówno do tych z A klasy, jak i z pierwszej ligi. Prezentują miernotę i brak jakiegokolwiek techniki. Czło-

klubach sprawy wychowawcze, a sport to przecież kształtowanie charakterów. Dawniej trener miał u zawodników niepodważalny autorytet. Był wyrocznią w każdej dziedzinie, często zastępował ojca i matkę. Na przykład młodzian palący papierosy nie miał miejsca w drużynie, bo trener nie dopuszczał go nawet do treningów. Chodziło przecież o sportowy, higieniczny tryb życia. Kiedyś nie do pomyślenia było zdanie przez zawodnika nie oczyszczonego sprzętu. Za szczyt ambicji trenera uchodziła stała łączność ze szkołą i rodziną. Wynikało to po prostu z jego poczucia obowiązku. Obecnie trener woli udawać, że nie zauważa postępów swoich podopiecznych. Oczywiście, nie można generalizować. Bardzo często natomiast jest tak, że trener czuje się opiekunem grupy tylko przez dwie godziny, podczas zawodów i treningów. Nie obchodzi go zbytnio, co zawodnicy robią przed i po treningu.

co jest sport każdy widzi

wieka aż szlag trafia, gdy patrzy na poczynania „gladiatorów”, którzy jedyną przyjemność znajdują w faulowaniu przeciwników, oszukiwaniu sędziego, niecelnym podawaniu piłki partnerom, kopaniu na aut, pudłowaniu z odległości pięciu metrów od pustej bramki i wprowadzaniu tym bramkarza drużyny przeciwnej w osłupienie lub — dla odmiany — podawaniu piłki z połowy boiska własnemu bramkarzowi. Publiczność jest przyzwyczajona do takiego „stylu” gry i nawet nie zawsze wyraża dezaprobatę. Co najwyżej bojkotuje występy swoich pupiłów, a na mecze przychodzi tylko garstka największych zapaleńców (czytaj: naiwniaków), oczekujących cudu. W tym kontekście trudno się dziwić, że entuzjazm wzbudza postawa zawodników lubelskiego „Motoru” w rozgrywkach I ligi lub mecz pucharowy łódzkiego „Widzewa” z „Manchesterem United”; łatwo też zrozumieć wybuch radości Kozakiewicza na moskiewskiej olimpiadzie. Autentyczną satysfakcję z uprawiania sportu można chyba zaobserwować u młodzików i juniorów. Zresztą z nimi też różnie bywa. Ostatnio chodzą słuchy, że działaczom ŁKS-u zaczyna się spieszyć, i nie chcą dłużej czekać na awans piłkarzy do trzeciej ligi. W tym celu zamierzają ściągnąć do drużyny niedawno pożegnanych weteranów. Dlaczego zatem odmładzali drużynę? Trudno zgadnąć. Wiele do życzenia pozostawiają w

Brak więzi zawodnika z trenerem objawia się między innymi i w tym, że mówią o nim twardo i obco: „trener”. Kiedyś mówili po prostu np. „Kaczor”, co był wyrazem sympatii podopiecznych. Ze dawał w kość? To było normalne, i tak potrzebne, jak rybnie woda. Nikt nigdy jednak nie powiedział: „Ale nas urobił ten...”, co dziś jest nagminne. Dzieje się tak chyba dlatego, że obowiązki trenera są często traktowane w sposób czysto formalny. Rozlicza się ich z pracy bardzo rzadko, bo kto ma tyle konsekwencji i woli utrudniania sobie życia? Prosta konsekwencja stawiania celu poniżej możliwości jest stagnacja. Jak inaczej wytłumaczyć fakt biernych postaw zawodników na boisku? Jeśli im się ciągle mówi, że najważniejszym celem jest utrzymanie się w lidze, a do jego osiągnięcia wystarczy zająć, na przykład, przedostatnie miejsce, i jednocześnie premiują się miernotą, to który z nich będzie się wysilał, aby zdobyć miejsce pierwsze? Lecz powtarzają: nie chcą generalizować, bo młodzież czasami bywa przekorna. Tenisiści stołowi z ŁKS-u na złość awansowali kiedyś do drugiej ligi! Sport stał się przemysłem, w którym często chodzi o zaspokojenie ambicji małej grupki pseudodziałaczy i o ich korzyści materialne. W tym względzie walka jest twarda i bezwzględna.

WYMIATAĆ



PRAWDA CZY LEGENDA

dziewice z Kolna

W jednej ze swych fraszek Jan Kochanowski wychwala cnotliwe kolnianki. Fraszka ta znana jest w szkołach kolneńskich, jako że już Aleksander Pułajński pisał o niej w swych „Wędrowkach po guberni augustowskiej” w roku 1859. Wielka Encyklopedia Powszechna z 1902 r. przytacza tę fraszkę przy opisie miasta Kolna mazowieckiego. A nawet w (wydanej w 1956 r.) popularnej na Kurpiach książce „A w Zielonej, w Myszynieckiej” Henryka Syski również znalazła ona swoje miejsce; autor zaleca sprawdzenie jej aktualności, „jeśli ktoś jest w gorącej wodzie kąpany i przed oblicze urzędnika stanu cywilnego jak najprędzej uszczęśliwiony rad stanąć”. Przypomnijmy ją.

O ROZWODZIE

Przyszł chłop do biskupa chcąc się rozwieść z żoną.
Pytają go: „Czemuż tak w oczu twych mierzona?”
„Atolim jej nie zastał dziewicą, Ksze miły!”
A biskup mu zaś powie: „O błaznie opity,
Przychodzi to na króle i wysokie stany,

A nie przywożą takich plotek przed kapłany.
I ty, chłopie, jeśli się tak dziewice chciało,
Mogłeś do Kolna jechać, tam ich jest niemało.”

Nie kwestionując zgodności treści fraszki z prawdą aktualną i dla Kolna nad Łabianką, warto jednak sprostować dotychczasowe mniemanie o niej, zresztą za wielkim znawcą twórczości Kochanowskiego — Józefem Przyborskim. On to w wydaniu pomnikowym „Dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego” (1884 r.) wyjaśnił w sposób bezsporny pochodzenie nazwy „Kolno” w tejże fraszce. Kryje się pod nią mianowicie miasto Kolonia nad Renem, „które postużyło pocie do powszechnego wówczas dowcipu z powodu 11 000 dziewcząt, których zwłoki wedle podania spoczywają w kościele św. Urszuli w tym mieście”.

Niech kolnianki nie mają mi za złe, że zabieram im pochwałę Jana Kochanowskiego; brzydsza połowa mieszkańców grodu i tak zawsze ceniła wasze cnoty, urodę i wdzięki.

CZESŁAW BRODZICKI

diakrostych

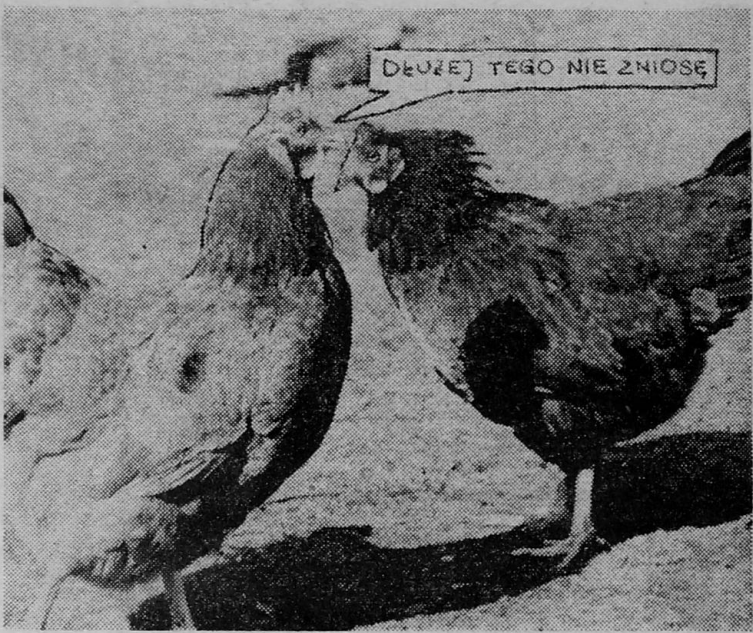
	1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	F	H	D	B	S	G	R	I	W
11	K	F	R	W	S	I	Ł	N	Z
20	R	P	O	S	R	I	F	B	A
30	H	R	I	Ł	K	D	F	J	Z
40	Ł	L	H	T	N	M	R	O	E
50	S	R	U	S	T	Ł	M	P	N
60	O	P	G	F	A	J	C	W	D
70	M	U	R	E	A	I	F	W	R
80	A	G	K	S	W	A	O	U	Z
90	U	G	I	B	E	A	T	J	K
100	Z	U	D	N	W	G	C	G	L
110	M	S	R	F	I	N	H	R	W
120	Z	U	L	F	S	C	T	E	B
130	H	K	W	W	L	P	M	J	R

Odgadnięte wyrazy wpisać obok liczb, którymi są zaszyfrowane. Trzecie litery utworzą imię, nazwisko poety i tytuł fraszki. Następnie przenieść odgadnięte litery w pola diagramu z odpowiednimi liczbami i odczytać fragment utworu (fraszki). Grubsza kreska pionowa oznacza koniec wyrazu, czarne pole — koniec zdania.
A. droga prowadząca do jakiegoś miejsca = 79 — 94 — 84 — 73 — 64 — 28 —;
B. jednostka promieniowania (emanacji) = 27 — 92 — 4 — 127 —;
C. dziki pies australijski = 107 — 49 — 105 — 124 — 66 —;
D. futro z chłozra = 101 — 3 — 35 — 68 —;
E. zasłona okienna = 48 — 93 — 29 — 72 — 126 —;
F. materiał służący do uszczelniania elementów maszyn = 1 — 122 — 63 — 11 — 76 — 118 — 26 — 112 — 36 —;
G. rozłam religijny = 90 — 104 — 0 — 98 — 80 — 62 — 106 —;
H. wjechanie, wjeżdżanie = 30 — 42 — 115 — 2 — 129 —;
I. kompozycja rysunkowa, graficzna lub malarska najczęściej o charakterze ornamentu = 15 — 75 — 25 — 113 — 32 — 8 — 91 —;
J. „ojciec” echa = 136 — 65 — 96 — 37 —;
K. pokaz, przegląd = 130 — 10 — 97 — 81 — 34 —;
L. wysuszone owoce = 121 — 41 — 133 — 108 —;
Z. skórzane worki służące do przewożenia sprzętu lub zaopatrzenia = 33 — 55 — 40 — 16 —;
M. zdarzenia, wypadki = 109 — 45 — 19 — 135 — 56 — 69 —;
N. liście lub strąki strączyńca = 58 — 17 — 102 — 114 — 44 —;
O. okres próbny w pracy = 22 — 60 — 85 — 47 —;
P. tą część twierdzenia należy dowieść = 21 — 37 — 134 — 61 —;

R. wyraz wdzięczności = 71 — 137 — 12 — 51 — 78 — 24 — 20 — 111 — 74 — 46 — 116 — 31 — 7 —;
S. zobowiązanie się wobec wierzyciela do wykonania zobowiązania dłużnika (gwarancja) = 53 — 14 — 110 — 50 — 5 — 99 — 123 — 82 — 23 — 88 —;
T. gatunek literacki = 43 — 95 — 125 — 54 —;
U. przestarzała nazwa lekkiego powozu, zwykle luksusowego = 52 — 70 — 88 — 89 — 120 — 39 — 100 —;
W. kopalnia kruszywa = 132 — 77 — 117 — 13 — 131 — 67 — 9 — 103 — 83 —;
Z. majątek, dobytek = 38 — 128 — 119 — 18 — 87 — 99 —.

Rozwiązanie, którym jest imię i nazwisko autora oraz fragment jego fraszki prosimy nadsyłać do dnia 16 X 1980 r. na adres: Redakcja Tygodnika „Kontakt”, 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10.
Hasło krzyżówki z nr. 5/80 brzmiało: „Atrakcyjne i modne tkaniny z Zakładów Przemysłu Bawełnianego NAREW”. Wśród nadesłanych prawidłowych odpowiedzi rozlosowano nagrody książkowe, które otrzymali: Dorota Molas z Łomży, pek Monet, Ilona Grabowska z Łomży, Halina Krajewska z Zambrowa, Mirosław Skawski z Łomży oraz Grażyna Geboży z Wygody.
Rozwiązanie krzyżówki z nr. 10/80; poziołmo: 3) Gogol, 6) Aramis, 7) Glaur, 8) Gorki, 11) Kakao, 14) Alina, 15) Samuel, 16) Koran; pionowo: 1) Moller, 2) Kalar, 4) Matka, 5) Litwa, 9) Orkan, 10) Kubus, 12) Konrad, 13) Lalka. Nagrody książkowe wylosowali: Krystyna Niemira z Zambrowa, Aleksander Chrzanowski z Łomży, Krzysztof Rydel z Kolna, Tadeusz Małachowski z Łomży i Antoni Staby z Zambrowa. Gratulujemy i życzymy przyjemnej lektury.

Bibł Jureco



MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery znajome diabły, ob. ob. Supraski, Narwiański, Biebrzański i Bużański tym razem ani siedzą, ani stoją, a raczej unoszą się ponad wszelką makroregionalną rzeczywistością.

SUPRASKI: Nu, kuliędzy, chciał ja wam zakomunikować o centralnej, znaczy się doniosłej decyzji. Od jutra my już nie te diabły, co wczoraj.

BUŻAŃSKI: Ki diabeł? Rogi zrzućć może, jeśli trzeba, nawet skórę przemaluję na białą, ale charakter?

NARWIAŃSKI: Z duchem czasu nie idziecie, kolego. Charakter rzecz nabyta. Wczoraj mieliście stary, dzisiaj nowy, a jutro być może, jak zajdzie potrzeba, będziecie mieć całkiem najnowszy. Dialektyka piekielna ważna jest. Ot co!

BIEBRZAŃSKI: Za pozwoleniem. Dialektycznie rzecz biorąc, jak powiedział...

SUPRASKI: (przerzywa) Wy mnie tu, kulię Biebrzański, co kto wziął i powiedział, nie wyciongajcie. Jak ten on nawet co i mówił, albo napisał, to i tak dialektycznie patrzeć trzeba nam na sprawę, co on napisał albo powiedział. Znaczący się w rozwoju społecznym, czyli z myślo o myśli i tak dalej. Nasza diabełna społeczność rozwijała się do przodu, a my do tyłu się rozwineli, dzieńki czemu wszystko poszło trochę w bok.

BIEBRZAŃSKI: Jasne. Praw fizycznych nie przeskoczysz. Matematycznie biorąc, wypadkowa wektorów sił, z których jedna idzie w tę, a druga w tamtą, zawsze będzie tamta owamta.

SUPRASKI: Filozoficzne demagogie zostawcie, kulię Biebrzański, na boku. Teraz trzeba nam konkretnie, że jak nas przypadkiem zechce konkretnie, to i my ich też konkretnie. Ot co!

NARWIAŃSKI: Słusznie. Przejdźmy do konkretów.

SUPRASKI: Kuliedzy, konkretnie mówione, to może ja teraz weźnę i dokonam reasumacji.

BUŻAŃSKI: Czego? Nie umiecie wy, jak widzę, rozumować po nowemu.

SUPRASKI: Jakże nie?! Reasumacja bendzie całkiem nowa. Otóż reasumujone, trzeba nam teraz w taki sposób działać, że nie zaprzepaścić całego naszego piekielnego dorobku. Dorabiali my sie, dorabiali i teraz przyjdzie nam wszystko stracić? Jakże to tak może być?! Co się mnie tyczy, to jedne karate przepisz na cioteczne babkę, a dom na bagnach oddam na cele twórcze albo sprzedam. Musze się rozpatrzyć, co się lepiej opłaca. I wam, kuliędzy, to samo radzę zrobić. Jak nas zaczo rozliczać, to my sie musim a-legalnko wyliczyć, nie?

BUŻAŃSKI: Ja tam osobiście nie mam. Cały czas chodzę goły, bosi i głodny.

BIEBRZAŃSKI: A bodaj was diabli wzięli. Kto niby u was modę wprowadził na paczki degustacyjne, jeśli nie wy.

BUŻAŃSKI: To nie ja! To kolega Narwiański. Ja najwyżej parę razy dostałem po 10 kg wędzonego węgorza, kilka nędznych skrzynek masła, jakieś tam sery, szynki, balerony, coś z przyrodziwku do testowania. Tak że tylko paredziesiąt kompletów bielizny pościelowej, i to wszystko. Ot, takie tam drobiazgi.

NARWIAŃSKI: Pościel jaka, z koronkami?

BUŻAŃSKI: Z koronkami.

NARWIAŃSKI: Cholera! Mnie bez koronek dali. I jak tu coś takiego testować.

BIEBRZAŃSKI: A co, jeszcze wam mało? Ja dostałem tylko parę mioteł. U nas w Goniądzu innego przemysłu niestety nie ma.

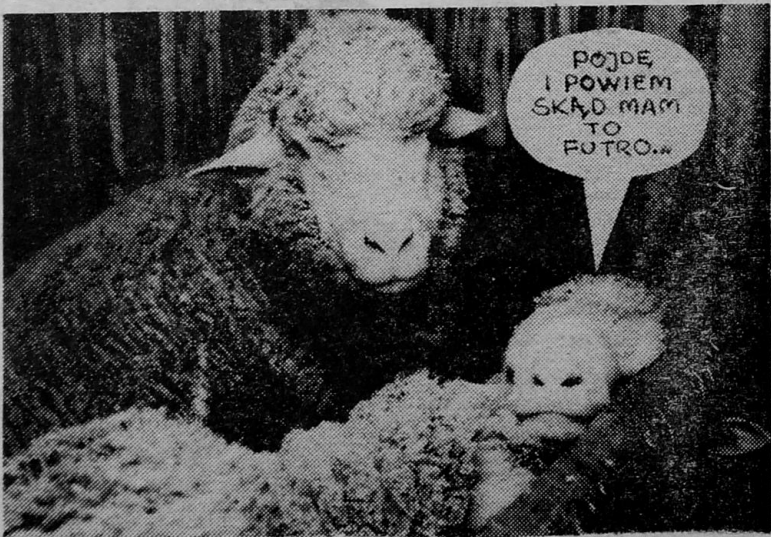
SUPRASKI: Znaczący się mieliscie szczęście. Zawsze ja mówił, że ten cały rozwój przemysłowy do niczego dobrego nie doprowadzi, tylko nastroje konsumpcyjne wzmacnia i od ideologii odprowadza. Nu, kuliędzy, może by tak...

BIEBRZAŃSKI: Co? tego... za nasze kontakty?

SUPRASKI: Ło, ło, łolo!!! Oni so nam teraz silnie potrzebne.

BUŻAŃSKI: Nie da rady. Coś one za słabe i nie im nie może pomóc.

WIESŁAW TOMASZEWSKI



POCZET DIABŁÓW POLSKICH

FUGAS — był największym piekielnym żarlikiem. Lucyfer zesłał go na Ziemię za to, że łakomczuch, pożarł trzy wiadra pasztetu z sere grzeszników piórem przywodzących ludzi do złego, a na deser — całutką skrzynię fig, przysłanych w darze od Oribela, wojewody indyjskiego. W warunkach ziemskich rychło wyszło na jaw, że Fugas jest równie często głodny, co naiwny. Nie najlepiej wiodło się żarlikowi, gdy występował jako król, szlachcic, mieszczanin i chłop na ostatku.

Skończyłby Fugas marnie, gdyby nie przytulisko, jakie znalazł w Maciejowej chacie. Tamże, za drobne posługi, za kołysanie Maciejowych dzieci, rąbanie drew i przynoszenie wody pozwolono mu sypiać w kominie, w pobliżu umiłowanych ponad wszystko garnków.

Nie byłby jednak Fugas Fugasem, gdyby się nie wdał w kolejną gastronomiczną awanturę. Łakomstwo przywiodło diabła do komory koziebrodzkiego proboszcza, gdzie czart niepoprawny zlasował cały dzbanek księżowskiej śmietany. Próbuąc się jakoś wybronić przed karą Fugas resztkami śmietany wysmarował brodę i wąsy świętego Antoniego, który w Koziebrodach pełnił funkcję przydrożnej figury. W pierwszej chwili pleban uwierzył, że świętemu pić się zachciało, ale sprawdziwszy w księgach, że święci nigdy, nawet w czas największej posuchy, nie mieli zwyczajowi spijania księży

śmietany, wnet odkrył prawdziwego szkodnika i przepędził Fugasa z koziebrodzkiej parafii raz na zawsze. Odtąd łakomy diabeł włóczy się po kraju, a że apetyt dopisuje mu jak dawniej, zawsze gdzieś zwędzi kawałek słoniny, nie gardząc też skibką chleba.

DZIWY Z IMPORTU

PUSTYNNNE PINGWINY

„Wall Street Journal” pisze, że „W jednym z tajnych izraelskich kibuców na skraju pustyni dokonano niedawno naukowego odkrycia. Wyhodowano tam specjalną odmianę pingwina. Zwierzęta te ważą około 300 kg, mają świński ryj, lubią tarzać się w błocie i chrząkają.”

MEKSYKAŃSKIE SŁODYCZE

W Meksyku istnieje ogromne rzemiosło, a nawet przemysł poświęcony słodocy śmierci. Przed każdym cmentarzem sprzedaje się czaszki, kości, a dla łakomczuchów nawet całe ciała nieboszczyków z kolorowego cukru. Można sobie zafundować i zjeść na miejscu np. szafirowe oko z marcepanu, wycięte przez sklepikarza z oczodołu słodkich zwłok.



WYWARY WSPÓŁCZESNE

„Sztandar Młodych” sugeruje, że kluby w Pieczyńskach, Grannem, Pelku, Perlejewie i Twarogach Łuckich nie mają opał na zime, a sensu przez cały rok.

Mieczysław Noruk, rolnik z miejscowości Woźnawieś, przekonał Wojewódzkie Biuro Planowania Przemysłowego oraz Przedsiębiorstwo Elektryfikacji i Technicznej Obsługi Rolnictwa „Eltor”, że dzieło elektryfikacji może się odbywać bez dziewięciu słupów, w tym dwóch trójczłonowych, na jego polu. Incydent uważa się za optymistyczny

choć techniczna obsługa rolnictwa trwa nadal.

„Kurier Polski” przedstawiając kandydatkę do Nagrody Kowalskich z Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego, jako ewenement podaje, że nikt z personelu Oddziału, na którym pracowała laureatka, nie wziął od pacjenta ani złotówki za podanie basenu. Przewiduje się inne nagrody.

Prasa centralna informuje, że do dziś nie znalazło się w Łomży pomieszczenie dla bogatej biblioteki, jaką profesor Piotr Bańkowski przekazał testamentem Łomżyńskiemu Towarzystwu Naukowemu. Spadkobiercy uważają, widać, że darowane mu koniowi w zęby, a książce w okładki, lepiej nie zaglądać.

SZCZEP WINNY

Mówią Arabi, iż, gdy szczep winny Adam posadził, diabeł zbyt czynny Podlał krwią pawia, co Adara

A gdy się w wroście szczep coraz krzepił

I listki wydał
Diabeł krew małą do pierwszej przdał.

Zeszył jagody; skropił lwia juchą.
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystko posoką świnią.

Cóż teraz czynią?
Oto: gdy wina szklankę kto lyknie,
Jak paw się nadmie, po drugiej

Skacze jak małpa, gdy szklanki

Po piątej, szóstej jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcej przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy staje się

IGNACY KRASICKI



POKUSY
Andrzej Koziały
pod redakcją
POKUSY
organ samoistny
POKUSY